



Julia Hartwig
(1921-2017)

Fot. Wikipedea

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXII Nr 8(252) Żelów, sierpień 2017

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Emila Bieli, Izabeli Kowalczyk, Benedykta Koziela, Alicji Kuberskiej, Kazimierza Lindy, Mateusza Skrzyńskiego, Jerzego Stasiewicza, Leszka Żulińskiego

Andrzej Dębkowski – *Dość TVP!*

Leszek Żuliński – *Sto pięćdziesiąt razy*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Siła wyobraźni poetyckiej*

Stefan Jurkowski – *Krówska na pomniku*

Andrzej Bartyński – *Piękne damy*

Kazimierz Ivosse – *Tak trochę od kuchni*

Joanna Friedrich – *Pierwsza dama. Dama serca. La Dame De Fer*

Anna Dominiak – *Który osłaniasz.*

O poezji Tadeusza Zawadowskiego

Agnieszka Zięba-Dąbrowska – *Marakesz*

prof. Jadwiga Mizińska – *Ludziki*

Jana Stępnia

Michał Bukowski – *Jeśli*

Emil Biela – *Czarna tęcza oraz Autobiografia Romana Polańskiego*

Jan Stępień – *Przekłęci?*

Rafał Orlewski – *Barwny świat rogatki*

Anna Andrych – *Gratulacje dla Nguyena*

Chi Thuata

Informacje

Wydarzenia

Imprezy

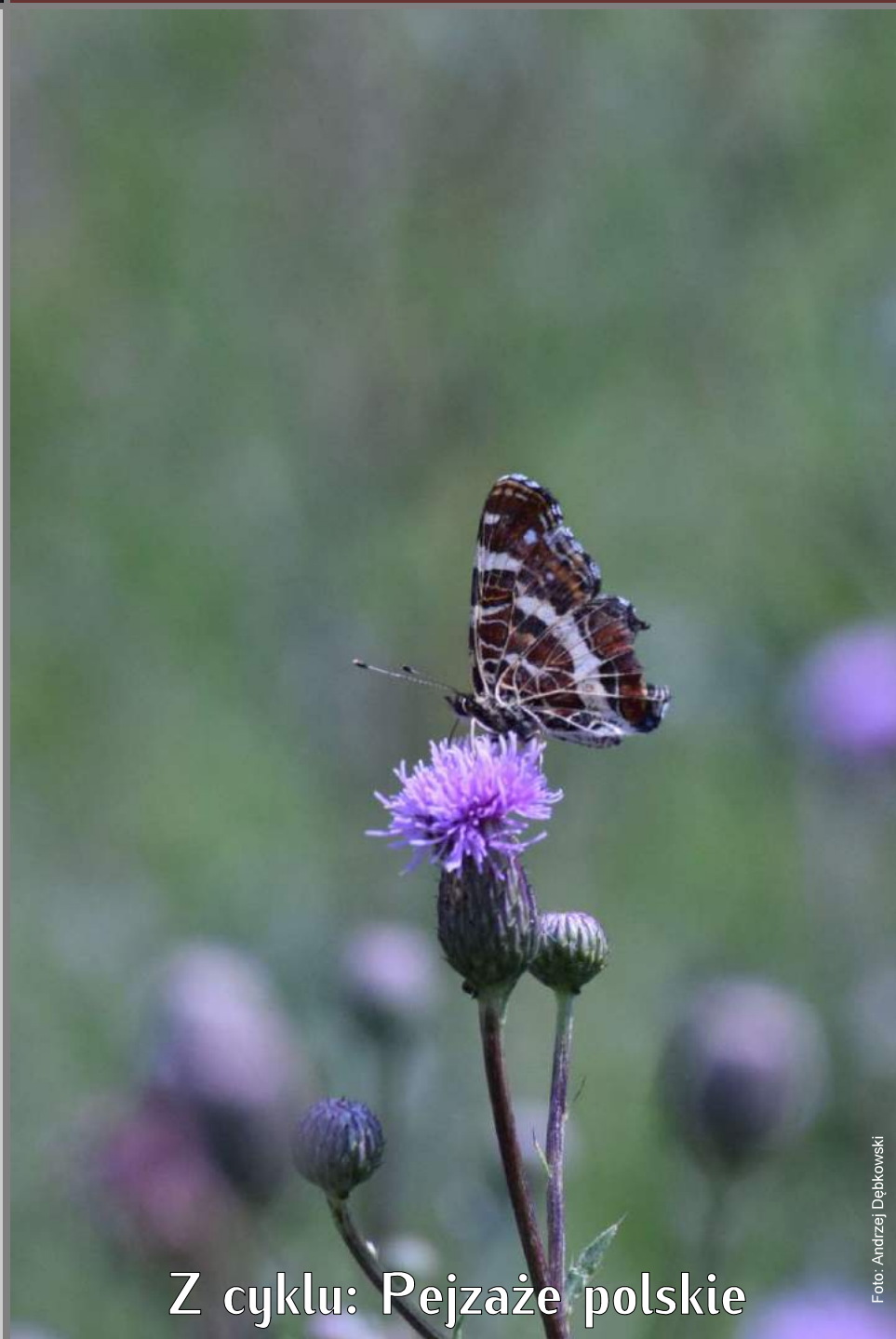
Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy

Kronika

Witryna

Zapowiedzi



Z cyklu: Pejzaże polskie

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

Zmarła Julia Hartwig

W wieku 96 lat zmarła w Pensylwanii w USA **Julia Hartwig**, poetka, eseistka i tłumaczka literatury pięknej.

Urodziła się 14 sierpnia 1921 roku. Zadebiutowała w 1936 roku w lubelskim miesięcznym piśmie literackim „W słońce” wierszem bez tytułu.

Podczas okupacji Julia Hartwig przeniosła się do Warszawy. Brała udział w konspiracji, była łączniczką Armii Krajowej, działała w kulturalnym podziemiu. W tym czasie podjęła także studia na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Jej profesorami byli m.in. Julian Krzyżanowski i Władysław Tatarkiewicz.

Po wojnie kontynuowała studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a następnie na Uniwersytecie Warszawskim (1946). W tym czasie publikowała swoje wiersze m.in. w „Wyborze wierszy poetów lubelskich” oraz na łamach „Twórczości” i „Kuźnicy”.

Od 1947 do 1950 roku przebywała we Francji na stypendium rządu francuskiego (studiowała literaturę francuską). Po powrocie zamieszkała w Warszawie. Związana była wtedy z reporterem, publicystą Ksawerym Pruszyńskim. Przez kilka miesięcy poetka była żoną krytyka filmowego Zygmunta Kałużyńskiego. W 1954 roku poślubiła poetę i prozaka Artura Międzyrzeckiego.

Publikowała wiersze, przekłady z literatury francuskiej i recenzje na łamach „Nowej Kultury”, „Świata”, „Poezji”. W 1970 roku wraz z mężem wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Wykładała na uniwersytetach w USA i Kanadzie.



Fot. Wikipedia

Julia Hartwig

W 1974 roku, po powrocie do kraju, pracowała, publikując zbiory poezji własnej i tłumaczonej z innych języków, a także eseje i tomy prozy. Wspólnie z Międzyrzeckim wydali „Antologię poezji amerykańskiej”, kilka książek dla dzieci, tom tłumaczeń wierszy i prozy Guillaume'a Apollinaire'a, a także „Listy” Arthura Rimbauda.

Napisała monografie „Apollinaire” (1961), przełożoną m.in. na język francuski, oraz „Gerard de Nerval” (1973). W jej wyborze i przekładach ukazała się pierwsza w Polsce antologia poetek amerykańskich „Dziki brzoskwinie” (2003) oraz zbiór prozy Henriego Michaux „Seans z workiem” (2004).

W okresie PRL popierała demokratyczną

opozycję. W styczniu 1976 należała do sygnatariuszy „Memoriału 101”, wyrażającego protest przeciw projektowanym zmianom w Konstytucji PRL. W latach 1986-1991 była związana z NSZZ „Solidarność”. W 1989 r. była członkiem Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie.

Tomy poetyckie Hartwig to m.in.: „Pożegnania” (1956), „Czuwanie” (1978), „Czułość” (1992), „Zawsze od nowa” (1999), „Nie ma odpowiedzi” (2001), „Błyski” (2002), „Bez pożegnania” (2004), „To wróci” (2007), „Jasne niejasne” (2009). Publikowała także prozę m.in. „Dziennik amerykański” z pobytu w Stanach i dziennik podróży „Zawsze powroty”, w którym poeta zebrała zapiski z podróży do Francji i USA.

Julia Hartwig była laureatką m.in. Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej i Nagrody Polskiego PEN Clubu im. Jana Parandowskiego.

Złota Róża dla Anny Marii Musz

Po raz czwarty zebrała się Kapituła Nagrody Literackiej im. Jarosława Zielińskiego, by przyznać Złotą Różę poecie do 41. roku życia oraz stypendia młodym twórcom. W połowie czerwca br. Kapituła w składzie: Aleksander Nawrocki (przewodniczący), Stanisław Grabowski (sekretarz), dr Lam Quang My, Andrzej Walter i Mikołaj J. Wachowicz (członkowie) spośród 15 przesłanych tytułów ostatecznie do finału wybrała 8 książek poetyckich następujących autorów: Konrad Góra (*Nie*), Gabriela Swatek (*Na tropie marzeń*), Izabela Trojanowska (*Akt*), Piotr Koprowski (*Z historią (nie) w tle*), Ewa Adamska (*Wiersze, wersy, wersety*), Anna Buchalska (*Szeptem*), Igor Jarek (*Białaczka*) i Anna Maria Musz (*Lot nad miastem*).

Po dyskusji, zakończonej jawnym głosowaniem, za najciekawszy w 2016 roku uznano tom wierszy **Anny Marii Musz** pt. *Lot nad miastem* wydany przez Zaułek Wydawniczy „Pomyłka”.

W uzasadnieniu członkowie Kapituły jednogłośnie stwierdzili, że książka odznacza się dojrzałością, autorka uważnie śledzi problemy współczesności, umie subtelnie przekazać uczucia pomiędzy dwojgiem ludzi. Jej wiersze są klarowne, bogate w treści, precyzyjne w formie. W swej twórczości poetka wielokrotnie sięga aforystycznej głębi, co budzi podziw czytelnika. Wśród poetyckich tomów wydanych w ubiegłym roku – zdaniem Kapituły – na mapie poetyckiej Anna Maria Musz jawi się jako twórca najbardziej zauważalny i wyrazisty, o dużych walorach intelektualnych. Kapituła stwierdziła ponadto, że Anna Maria Musz jest nadzieją polskiej literatury i wyraziła zadowolenie, że to właśnie ona otrzymała Złotą Różę.

Jednocześnie przyznano trzy stypendia literackie na rok szkolny 2017/2018. Uzyskali je: Anita Róg (Mielec), Marcin Mołski (Warszawa) i Gabriela Swatek (Wojsławice).

Po raz pierwszy członkowie Kapituły przyznali pośmiertnie Erwie Adamskiej (1990-2005) Honorową Nagrodę Literacką im. Jarosława Zielińskiego za tom poetycki *Wiersze, wersy, wersety*.

Konkursy

Konkurs Literacki na tom prozy (opowiadania, nowele, powieść) im. Eugeniusza Pauksty

Zarząd Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu ogłasza konkurs adresowany do wszystkich twórców zrzeszonych i niezrzeszonych.

Celem konkursu jest pozyskanie wartościowych książek o tematyce społeczno-obyczajowej w okresie zachodzących przemian politycznych i gospodarczych w kraju.

Każdy uczestnik może przesłać jedną pracę. Prace nigdzie dotąd niepublikowane – opowiadania, nowela, esej – maksymalnie do 30 stron formatu A4 w 3 egzemplarzach, także nagrane na nośniku CD, opatrzone godłem należy przysłać do dnia **30 września 2017 roku** na adres: **Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, ul. Piekary 17 pok. 907, 61-823 Poznań.**

W zaklejonej kopercie, oznaczonej godłem, należy dołączyć swoje dane osobowe, adres zamieszkania oraz numer telefonu. Wymagane jest też oświadczenie dotyczące wyrażenia zgody na przetwarzanie danych osobowych.

Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagród nastąpi 7 listopada 2017 roku w Sali Lubrańskiego UAM w Poznaniu, podczas 40. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego. Nagrodą główną będzie pamiątkowa statuetka oraz nagrody pieniężne dla zwycięzcy i wyróżnionych. Wyróżnione prace zostaną wydane w formie książkowej w terminie do końca października 2018, z promocją podczas 41. Listopada Poetyckiego w 2018 roku.

Bliższe informacje można uzyskać pod numerem telefonu: 795 405 688.

Najciekawsza książka poetycka roku 2017 40. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego

Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu zaprasza autorów, wydawnictwa, stowarzyszenia do nadsyłania książek poetyckich, godnych tytułu i nagrody – Najciekawsza Książka Poetycka Roku 2017 – 40. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu.

Laureata poznamy podczas uroczystej inauguracji 40. MLP w Sali Lubrańskiego UAM w Poznaniu (ul. Wieniawskiego 1), 7 listopada 2017 roku.

Tomy poezji, wydane w języku polskim w roku 2017, należy nadsyłać w 3 egzemplarzach, do 30 września br. Wybory wierszy nie będą brane pod uwagę.

Wewnątrz dużej koperty z 3 egzemplarzami książki prosimy zamieścić małą kopertę zawierającą adres domowy, e-mail lub numer telefonu.

Adres Organizatora: **Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, ul. Piekary 17, pok. 907, 61-823 Poznań.**

prof. Jadwiga Mizińska

Ludziki Jana Stępnia

„Człowiek – to brzmi dumnie” – pisał Maksym Gorki.

A jak brzmi „Ludziki” Jana Stępnia? I – czy w ogóle „brzmi”? Kiedy oglądamy jego rysunki i malunki – czasem osobno, a czasem jako ilustracje do Jego prozatorskich miniatur – mamy wrażenie, że nawet jeśli ze sobą rozmawiają, to czynią to po cichu. I nie mogą inaczej, wszak są Ludzikami, a nie Ludźmi. Ciekawe, że słowo „ludzie” nie ma liczby pojedynczej, występuje w masie i anonimowo. Tymczasem Janowe Ludziki są zawsze pojedyncze, chociaż dużo mniejsze od Ludzi. Chociaż są mikrogo wzrostu i niepozornej postury, są o wiele lepiej dostrzegalne i rozpoznawalne (podobnie, jak Krasnoludki). W odróżnieniu od nich, tworzący tłum Ludzie, są nierozpoznawalni, zlewani w ogromny tłum, jak na zdjęciu z manifestacji, czy wiecu. Niekiedy owe szare masy budzą trwogę, przerażenie, choć zarazem litość, jak w wierszu Bolesława Leśmiana:

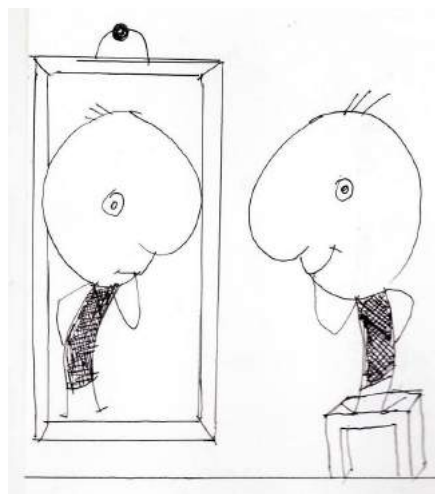
*Szli tędy ludzie, biedni, prości,
Bez przeznaczenia, bez przyszłości,
Widziałem ich, słyszałem ich!...*

*Szli niepotrzebni, nieprzytomni –
Kto ich zobaczy – ten zapomni,
Widziałem ich, słyszałem ich!...*

*Szli ubogiego brzegiem cienia
I nikt nie stwierdzał ich istnienia, słyszałem ich!...*

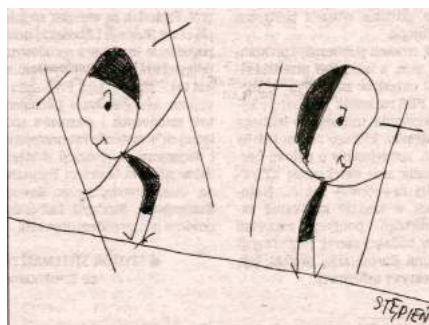
*Śpiewali skargę byle jaką
I umierali jako tako,
Widziałem ich, słyszałem ich!...*

*Już ich nie widzę i nie słyszę –
Lubię trwającą po nich ciszę.
Widziałem ją, słyszałem ją!...¹*



Dlaczego Leśmian, jak sam wyznaje, polubił „trwającą po nich ciszę”, i woli ją od widoku oraz rozgwaru miernych, przecięt-

nych, prawie anonimowych, osobników? Próba odpowiedzi na to pytanie, w pewnej mierze dostarcza również wyjaśnienia fascynacji Ludzikami Jana Stępnia. Otóż, obu poetów: i Leśmiana, i Stępnia, łączy upodobanie do – wprawdzie niepozornych – za to osobników hardych, zadziornych i charakternych. Jędrzek Sikora pewnie nazwałby ich „zakapiorami”. Wspólną ich cechą jest to, że... nie mają wspólnych cech. Na odwrót, każdy jest inny i niepowtarzalny, każdy ma odmienne zalety i wady, ale także dziwactwa, kalectwa i ułomności. Ale dzięki temu – jest nie do pomylenia z żadnym innym przeciętnym.



Leśmian swoich bohaterów lubił nazywać Ludzieńkami. Bywają oni śmieszni, dziwni, a niekiedy straszni, jak „Dusiołek” albo „Śnigrobek”, Świdryga i Midryga” czy inne „Trupięgi”. Prawie każdy z takich cudaków nosi imię własne, aczkolwiek nie znajdziemy ich w kalendarzu, bo jest naprawdę „własne”. Tacy odmienicy bynajmniej nie przypominają Ludzi, „niepotrzebnych i nieprzytomnych”. Są trzeźwi, aktywni, energiczni, zdecydowani, czasem rozdożywani. Zaczepni, zawadiacy, pełni wszelkich namiętności, i całkowicie oryginalni:

*To nie konie tak cwałują i uszami strzygą,
Jeno tańczą dwaj opoje – Świdryga z Midrygą (...)*

Więc Świdryga płaśał z prawą, więc Midryga – z lewą,

Ten obcasem kurz zmiatał, a tamten cholewą.

Na odsiebkę, na odkrętkę, i znów na odwrotkę –

*Podeptali macierzankę, błyszczkę i tymotkę!
Jeden wrzeszczał: „Konaj żywcem!”, a drugi:*

*„Wciorności!”
Tańczyli aż do zdechu i aż do upaści!²*

Janowe Ludziki ogromnie mi ich przypominają, bo żaden z nich nie zachowuje się według nudnych reguł „politycznej poprawności”. Owe zawadiackie Ludziki są wielce ruchliwe, ale ich kontury są zredukowane do dziecinnych „głowonogów”. Bardzo to interesująca zbieżność: zarówno

bazgroły kilkulatków, jak i rysunki dojrzałego artysty, pomijają takie szczegóły anatomiczne jak: piersi, brzuch, i inne „drobiazgi” na rzecz wyłącznie niezbędnych elementów, którymi są nogi, ręce oraz Głowa! Napisałem ten wyraz z wielkiej litery, bo w ludzkiej Głowie mieści się samo człowiecze centrum – stolica człowieka. Za pomocą kilku kresek Jan Stępień chwytą całą gamę postaw, uczuć, póż, gestów i min. Ludziki gorąco dyskutują i polemizują, kłócą ze sobą, złością się na siebie, dziwią się, zadziwiają się światem, cieszą, plotkują, smucą się, przytulają do siebie nawzajem, czy jeżdżą na krowim grzbiecie tyłem. Są nieustannie aktywne, nie tylko fizycznie, ale też umysłowo i emocjonalnie, zdarza się, że również duchowo i metafizycznie, aczkolwiek sami nie zawsze mają tego świadomość.

Szczytem redukcji Ludzików do „Głowonogów” jest rysunek z tomiku Jana Stępnia „Okrucy dnia”, ilustrujący miniaturę „Plemniki”. Są to stwory złożone z jajowatych głów z zaznaczonymi trzema kropkami w miejscu oczu oraz z patykowatych nóżek. Pomimo to ich „twarze” pełne są żywej ekspresji, na przykład zdziwienie markują pojedynczymi włoskami, które im stają na czubku Głowy. Co do nakryć owych Ludzików – są one mocno zróżnicowane. Przeważają robocze berety, kaszkiety i kapelusze dla „inteligentów”, czepce dla babć, czapeczki z pomponem dla dzieciaków. Czasem trafia się nawet korona! Owe akcesoria symbolizują status „Ludzika”, „Ludziczki” oraz „Ludziatek”, jako że Głowonogi mają różną płęć, wzrost i wiek. Nierzadko pośród nich pojawiają się zwierzęta (krowa, jelen) albo ptaki – choćby bocian z długim dziobem. Artysta zdaje się zrównywać wszelkie żywe istoty, niegdyś pięknie zwane przez lud „stworzeniami”. Sam Jan uważa się za panteistę i ekolog, traktującego przyrodę i kosmos jako wspólną ojczyznę wszystkiego, co czuje i żyje.



Ciekawe jest porównanie wcześniejszych zbiorów miniatur Jana Stępnia ze znacznie późniejszymi; w stosunku do to-

(Dokończenie na stronie 4)

Ludziki Jana Stępnia

(Dokończenie ze strony 3)

miku „Cienie zmarłych” z roku 1994, pojawiają się tam dość realistyczne, aczkolwiek uproszczone rysunki postaci, zazwyczaj występujących w grupie, na ulicy. Dwukrotnie występuje też żartobliwy autoportret artysty, jak gdyby chciał on podkreślić, iż jest tylko obserwatorem Ludzików.



Jednak w „Okruchach dnia” z roku 2008 mamy do czynienia z już o wiele bardziej spójną stylistycznie twórczością. Pozwala się to domyślać, iż Jan przestał się dystansować do swoich Ludzików, a zaczął się powoli z nimi utożsamiać. Nie przestając uważnie obserwować i wsłuchiwać w swoich bohaterów, zarazem bynajmniej się nad nimi nie wywyższa. W moich oczach stanowi to świadectwo autentycznej pokory, polegającej na szacunku do Ludzików i Ludzieńków. Otóż Jan ich po prostu lubi, takimi, jakimi są wraz ze swoimi śmiesznościami, ale też skłonnościami zarówno do dobrych, jak i nikczemnych odruchów i czynów.

Chciałoby się zacytować jeszcze jednego poety, Marcina Świetlickiego z tomiku „Drobna zmiana”, pod tytułem „Euforie i depresje”:

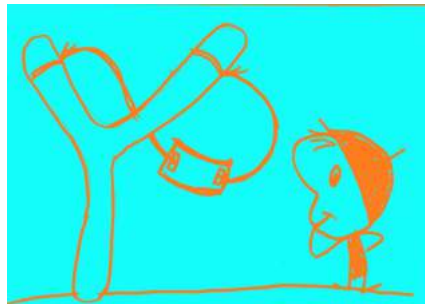
To one to robią. To one piszą, to one budują i burzą. W środku zredukowany ludzik. Czasami biega po anonimowych ulicach,

*nadpobudliwie szczęśliwy. Czasami zastyga. Stoi, nieznacznie drży.*³

Świetlicki z małej litery pisze „zredukowany ludzik”, wyrażając tym swoją dystans i niechęć, podczas gdy Jan Stępień raczej współczuje Ludzikom i razem z nimi się on nich martwi i troska. To nic, że bywają niedoskonałi, nam też zdarza się zachowywać niemądrze, a nawet bezmyślnie. Razem z czytelnikami i widzami Ludzików, staramy się ich rozumieć, wybaczać, a nade wszystko pomagać w kłopotach i nieszczęściach. Choć czasem solidaryzujemy się z Ludzikiem – „Chłopcem”:

„W miasteczku pochodzi do mnie kilkuletni chłopiec i pyta:

- Dacego idzie pan bez Apusia?
- Jest chory, został w domu.
- A na co jest choly?
- Jest zatruty.
- A kto go zatłuł?
- Zrobił to zły człowiek.
- Następuje chwila milczenia. Chłopiec patrzy na mnie uważnie i odchodząc mówi: – Ja bym zatłuł tego człowieka”.⁴



Współczucie, empatia i chęć porozumienia się nawet ze „złymi ludźmi” – to główny rys Janowych Ludzików. Woli obcować z nimi, niż z nadętymi „celebrytami”, obnoszącymi się ze swoim narcyzmem, egoistycznie zapatrzonymi we własny pępek. A już zwłaszcza wkurza obojętność i bezdusność biurokratów. Biurokraci i celebryci w oczach Jana to ludzkie „wydmuszki”, puste i próżne, „znane z tego, że są znane”.

Jan Stępień ma ich w pogardzie, a właściwie, to w ogóle ich ignoruje. Nie zwraca na nich uwagi. Zaprzętnięty sprawami małych ludzi, którzy, jak w znanej piosence o parasolkach, „bo maleńkie są zegary i godziny”. Wszakże ci „mali ludzie” miewają swoje Wielkie Dylematy i Wielkie Miłości, jak w opowiadaniu „Cienie zmarłych”.

„Cienie zmarłych, których kochaliśmy, gdy żyli na Ziemi, przychodzą do nas i patrzą spojrzeniem wiecznym.

My nie dostrzegamy cieni, gdyż nasze oczy dostrzegają świat rzeczy. Niekiedy, gdy jesteśmy sami, słyszymy jakiś szmer. Myśliliśmy wtedy, że to odgłos sąsiada. Tak, tak. Boimy się tych niecodziennych spotkań. My kochamy świat rzeczy. A rzeczy potrafią nam zawrócić w Głowie. Są, jak my, zazdrośne o swoich właścicieli.

Cienie zmarłych nie walczą z rzeczami o naszą miłość. Są bardzo cierpliwe. Wystarczy im, że są tuż obok i mogą patrzeć na nas spojrzeniem wiecznym.

Przecież prędzej czy później dołączymy do nich i będziemy przychodzić do tych, którzy kochali nas za życia ziemskiego”.⁵ (s. 62, *Cienie*)



Tak oto – kluczem do Świata Ludzików Jana Stępnia, okazuje się Miłość. Niekoniecznie, ta wielka i romantyczna. Raczej codzienna, pomieszana z momentami irytacji, niecierpliwości, czy nawet agresji. Mimo to autentyczna, bo odnosząca się do konkretnych osób z ich brakami i wadami. Bynajmniej nie anielska. By znowu zacytować Leśmiana z wiersza „Anioł”:

*Odtąd gdy wchodzę z tobą w umówiony park,
Gdzie światła księżycowe do stóp nam się
łaszą –
W twych wargach szukam jego przemilczanych
warg
I nie wiem, co się dzieje z tą miłością naszą.*⁶

No właśnie: Co się dzieje z tą naszą miłością?

prof. Jadwiga Mizińska

¹ Bolesław Leśmian, *Poezje zebrane*. Opracował Jacek Trznadel. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 2010. s. 368

² Op. cit. s. 173

³ Marcin Świetlicki, *Drobna zmiana*. Wydawnictwo a5. s. 51

⁴ Jan Stępień, *Cienie zmarłych*. Wydawnictwo Interlibro. Warszawa 1994. S.62

⁵ Jan Stępień, *Okruchy dnia*, Warszawa 2008. S. 45.

⁶ B. Leśmian, op. cit. s. 369



Rysunki w tekście: Jan Stępień

Mniej Więcej (150)



Sto pięćdziesiąt razy

Stare powiedzonko głosi: „jak sam się nie pochwalisz, to możesz czuć się jak opluty”. Toteż gdy się połapałem, że to już 150-ty raz w tym miejscu mnie widzicie, może nawet czytacie (już ponad 12 lat), to postanowiłem napisać felieton sam o sobie. Nawiasem mówiąc: chyba słowa „felieton” źle tu używam, bo cykl »Mniej więcej« jest po prostu zbiorem recenzji. Ale taka kolumna, tak samo cyklicznie wyglądająca od lat, jakoś kojarzy się z felietonem. Zresztą: jak zwął, tak zwął – tu, na tej stronie, widzujemy się (dzięki Andrzejowi Dębowskiemu) z dokładnością zegarka.

Leszek Żuliński

Nie wiem, ile w życiu napisałem recenzji. Dużo, bardzo dużo – pamiętajcie, że współpracowałem z wieloma czasopismami i pracowałem w kilku redakcjach literackich. Teraz w zasadzie publikuję recenzje tylko na tych łamach oraz na portalu Latarnia Morska prowadzonym przez Leszka Jakóba.

Miałem to szczęście, że siedziałem zawodowo w literaturze od połowy lat 70-tych. Do tego dochodziły prelekcje literackie, prowadzenie warsztatów literackich, jurorowanie w konkursach poetyckich, no i „balowanie” na różnych imprezach literackich. Życie nie umierać? Może to tak wygląda z boku, ale gdy staje się zawodem, to powszednie. Robota jest robotą – i tyle.

To jednak cudna robota. Głównie dlatego, że poznaje się dziesiątki prozaików i poetów. No i kolegów krytyków. To środowisko złożone, czasami skłócone, ale – co by nie mówić – fascynujące. No i jest się – tak jak w moim przypadku – świadkiem kilku dziesięcioleci życia literackiego. Dzisiaj żałuję, że nie pisałem dziennika (pamiętnika?) – jego publikacja po jakimś czasie mogła być

dalece nie nudna.

Kiedy czytacie ten felieton, w toruńskim Wydawnictwie Adam Marszałek szykuje się do druku właśnie moja trzydziesta trzecia książka (dziś uważam, że co najmniej o pięć, siedem za dużo) pt. *Moje podróże literackie*. Tak, jeździłem i miałem gdzie jeździć. Na krajowych imprezach byłem dziesiątki razy, ale Związek Literatów Polskich lub niektórzy wydawcy wysyłali mnie też w świat – na imprezy, zloty, targi, konferencje, panele, spotkania multilateralne itp. Byłem od Pekinu po Nowy Jork, od Tadżykistanu po Sycylię – w wielu krajach. Ta wyżej wspomniana książka opowiada o tych podróżach i ludziach, których poznałem. Nierzadko znanych, nierzadko wspaniałych.

Teraz już od kilku lat jestem emerytem, pracuję głównie w domu, ale wciąż się ruszam, gdy jestem zaproszony. Tu, w Warszawie, mam swoje bliskie grono literackie – na imprezach bywam, kawkę z kolegami popijam...

I kiedy to wszystko bzyknie? Tak czy owak jak sen jaki złoty. A ja? A ja już jestem zmęczony – dobiegam powoli 70-tki. Dlatego teraz wolałem napisać ten tekst, bo czekanie na odcinek 200-setny jest ryzykowne.

Teraz z lotu ptaka patrzę na naszą literaturę i przemiany, jakie w niej nastąpiły w ciągu mniej więcej półwiecza. Tak, bardzo się wszystko zmieniło. Ja debiutowałem jako poeta w 1975 roku – wtedy ukazało się zaledwie 35 debiutów poetyckich (znakomicie dokumentował te debiuty tandem Jerzego Leszina-Koperskiego i Andrzeja K. Waśkiewicza). Obecnie lawina książek poetyckich jest nie do ogarnięcia. Transformacja ustrojowa miała ogromny wpływ na transformację ruchu edytorskiego. Rykoszet tego zjawiska mieści się w znanym powiedzonku: *śpiewać każdy może, trochę lepiej lub gorzej*. Wolny i w dużej mierze sprywatyzowany rynek edytorski daje szansę każdemu. Do tego stopnia, że trudno się w tym połapać. Ale szanse otrzymują wszyscy – i to jest ten najważniejszy bonus.

Druga rewolucja wynikała z nowego modelu komunikacji, tzn. z powstania Internetu. On stał się największą księgarnią i czytelną. Nielimitowaną. Tradycyjne życie literackie toczy się nadal – istnieją liczne wydawnictwa, funkcjonują spotkania autorskie i rozmaite imprezy. Nadal – jak dawniej – maja się dobrze konkursy literackie i itd. Jednak *silva rerum* i biblioteka bez dna – to Internet.

Obecnie mamy czas istotnych przemian czytelniczych – coraz bardziej popularne stają się e-booki i audio-booki. Tradycjonalności ubolewają, że to jest podzwonne dla książki tradycyjnej, papierowej. Moim zdaniem – jest! Tylko ten proces okaże się w pełni funkcjonalny z dorastaniem nowego pokolenia. No bo łatwo sobie wyobrazić, że dzisiejszy dziesięciolecie za kolejne dziesięć lat będzie miał swój księgozbiór na elektronicznych nośnikach. Patrzę na moją papierową bibliotekę i palec kładę na ustach – gdyby moje książki o tym wszystkim się dowiedziały, to chyba popełniłyby samobójstwo spadając z półek. No cóż... Świat się

zmienia; najpierw przemiany budzą lęk, potem oswajają się i stają czymś oczywistym i normalnym.

Elektronizacja to jest bezkrawowa rewolucja, która będzie się rozwijała. Nie wiemy, na ile „stechnicyzowane” społeczeństwo będzie odwracało się od kultury. Może będzie nas – pismaków – mniej, jednak jestem dobrej myśli. Bowiem my, karmiący się prozą i poezją, zawsze będziemy. Pisanie wierszy w okresie młodzieńczym to piękny afrodyzjak emocjonalnego dorastania. Niektórzy dorosną i zaponą o swoim młodzieńczym pisaniu, ale zawsze będzie batalion tych, którzy z choroby pisania się nie wyleczą. Skoro literatura przetrwała od czasów Homera, to jest to znaczący sygnał.

W ogóle technicyzacja i technokracja nie zasnizują potrzeb duchowych i kulturowych. Musiałoby to wiązać się z cyborgizacją człowieka. Autorzy science-fiction nawet – być może – w to wierzą, ale wpływu na bieg rzeczy nie mają. Czy my, poeci, mamy? Tak, to już bardziej prawdopodobne. Znakomicie wyobrażam sobie nastolatka, który czytając – nawet przypadkowo – jakiś wiersz poczuje, że lzy płyną mu po policzkach. Ja właśnie jako licealista przez taką okoliczność zacząłem pisać wiersze i to wyznaczyło ścieżkę mojego żywota. Ta reguła – wierzę w to – się powtarza.

No, już was nie zanudzam... Następnym odcinkiem *Mniej więcej* będzie klasyczną recenzją. Zapraszam.



Leszek Żuliński

Bilans

zawsze myślałem: jak żyć pięknie?
na nic to się zdało.

potem zastanawiałem się, jak naprawić błędy,
ale co się stało, to się nie odstanie.

teraz robię bilans. nie wiadomo po co –
dobry rachunek zawsze kończy się tak samo.

co innego z morałem...
tu często jakaś deska ratunku i pocieszenia

na przykład:
przegranym jest tylko ten, który nie zwyciężył,
upokorzonym – ten, którego upokorzono,
oczyszczonym ten, który nie boi się lustra.

Benedykt Kozieł

Brzeg świata

Miałem kilka lat
z bezpiecznego podwórka
patrzyłem
w ścianę lasu
w brzeg świata

drzewa przemawiały
nowym horyzontem

w jasnych koronach
chciałem czytać
wypatrywane znaki
przeczuwane słowa

nie znałem alfabetu
pytałem tatę
co napisał las

prześwity nieba
zapisywały moją ciekawość

Z dwojga dobrego

Narodzony
z dwojga dobrego
niosę kody niewiadomych

w kategoriach wolności
szukam
dalszego ciągu

w możliwości wyboru
odnajduję
uświadomioną niepewność

błądzą
w złotym środku

każde określenie się
chce budować
nieistniejący model

system zerojedynkowy

Na dworcu

Stoję
w zatrzymanym czasie
względności obrotu sfer
doświadczeniu iluzji zdarzeń

poranne dziewczyny
opowiadają
bohaterów wczorajszych spotkań
wracają
w spojrzania uśmiechy wyobrażenia
rosną
w słowach

uruchomione zegary

otwierają miejsca
codziennej podróży

wiatr
strzępi języki
słupów ogłoszeniowych

Kalendarz

Dostałem kalendarz
na kolejny rok

przeoglądam kartki
przyglądam się drodze

dni pracy
dni świętowania

w wytyczonym szlaku
giełdy pragnień
listy zleceń
otwarte udziały

akcje
Bożej koniunktury

Z obłoków z doliny

Tak jak się przyszło
z obłoków
z doliny
trzeba iść dalej
za Chyłową Górę
za lustro rzeki
w rozstawione drzewa

nieść
wszystko z sobą
co się udźwignęło

w gęstwinie znaczeń
wymieniać obrazy
dodawać barwy
składać w strumień światła

zgadywać siebie
w nieprzewidywanym
znajdować drogę
która się nie kończy

Emil Biela

Dwie wizje

wizja pierwsza
biegną z kasami na sztorc
kosynerzy spod krakowskiego
kopca Kościuszki
galopuje od dawna
sam
nie pan
Naczelnik Narodu

wizja druga
od Wawelu idą na Giewont

do śpiących rycerzy
oni ciągle śpią i śpią – śnią
naród nie ma siły ich zbudzić
kto to wreszcie uczyni
kto będzie miał odwagę kosynerów
ja im niosę wieść
zbudzić się trzeba
nie śnić w skalnej legendzie

Alicja Kuberska

zgubione dane

stoję na pustej ulicy
towarzyszy mi zimny wiatr
który przerzuca niedbale papiery i kawałki
folii
deszcz batem z kropli bije po twarzy i
rękach

zmrok obudził okna okolicznych domów,
patrzą wrogo żółtymi ślepiami.
nie idę do domu
obce są wszystkie adresy.

myśli jak spłoszone stado wron krąży po
głowie.

nic nie pamiętam
strach łapie za gardło i dusi.
nie należę do nikogo
samotność wciąga w nicość

nie wiem jak się nazywam i skąd mój ród
gdzie odnajdę bezpieczne schronienie
torebka strażniczka prywatności milczy

nie mam dokumentów.
nie mam pieniędzy
błyszczą klucze do nieznanych drzwi

powracam z próżni
odzyskana tożsamość krzyczy głośno imię
odpycham spod powiek zły sen

filozof i poeta

spotkali się pomiędzy niebem a ziemią
w miejscu w którym czas i materia nie mają
znaczenia

na wyższym poziom abstrakcji.
ominęły bariery rzeczywistego świata

on przyniósł białą kanwę i filozoficzne
sentencje
ona farby pędzle i odrobinę marzeń
w słowach
namalowali obraz w odcieniach błękitu
zawarli myśli uczucia w niebieskim kolorze

on śmiałą granatową linią nakreślił kontury
życia
ona lazurowym muśnięciem wypełniła tło
razem dorzucili kilka barwnych płamek
zadziwienia

żebrak

spojrzałam żebrakowi głęboko w oczy
opowiedziały historię

księga życia jest otwarta
na początku opisuje błędy i niepowodzenia
potem monotonne dni których
celem jest przetrwanie we wrogim świecie

ulice są jak bagno
wciągają i nie pozwalają odejść
nie dają nic
nie obiecują niczego

musi dryfować
na tratwie zbudowanej ze starych kartonów

głośno trąbią mknące samochody
nieprzychylnie mruczą przechodnie
czasami tylko ktoś litościwy
wrzuci do blaszanego pudełka
kilka miedziaków

Wiosna w Budapeszcie

Zielone wzgórza jak szeroki szal,
otulają miasto, które nigdy nie śpi.
Błękitny Dunaj jeszcze pamięta
melodię wiedeńskiego walca
i cygańskie skrzypce grające czardasza.

W lustrze wody przeglądają się pałace
i wielkie secesyjne kamienice,
odbijają się białe wieże parlamentu.
Nadbrzeżne kawiarenki ukryte
w cieniu rozłożystych platanów.
zapraszają na lampkę złotego tokaja.

Wędruję po skwerach, ulicach.
Spoglądam z mostu na Wyspę Małgorzaty.
Widzę w wyobraźni małą, przestraszoną
dziewczynkę,
trzepoczącą pod zakonnym habitem.
Czy płakała? Tego nie napisano w kronikach.

Od tamtego czasu świat się zmienił wiele
razy,
ludzkie uczucia pozostały niezmienione,
Łzy nigdy nie straciły słonego smaku.

Leszek Żuliński

Dardanele

ileż to wody upłynęło w rzece czasu...
płynąłem pod prąd i z prądem. rwący nurt
niósł mnie jak chciał. owszem, próbowałem
dryfować ku brzegowi, ale on zawsze był
stromy.
byłem falą. byłem listkiem. byłem kłodą.
kajakiem. tratwą. gondolą.
blaszką, którą wypłut zerwany z żyłki szczupak
i obrośniętą glonami butelką, w której ktoś

zakorkował swoje s.o.s.
w końcu dobijam do brzegu. jestem
wymoczkiem
i starym, głupim osłem

Pan Cogito

siedziałem na dębowej ławie
w berlińskiej Gemäldegalerie
z Panem Cogito, patrzyliśmy
na olej Boscha

piekło nas dotykało

– czuje pan swąd? – zapytałem,
– od pana – odpowiedział

wstał, oddalił się, przepadł mi
w amfiladzie życia

szczęśliwi prości i prostolinijni;
ja siedzę tam dalej i nie wiem,
kórędy do wyjścia.

Nic

zostaną po nas tylko rzeczy

na przykład zydel, solidny, dębowy,
jakiego już nie kupisz w żadnym sklepie

albo zegarek niemodny,
zmatowiały jak czas, który w nim
zasnął

stare pióro, maszynka do golenia,
nóż do rozcinania kopert, jakieś rachunki
dawno zapłacone, kwity

rzeczy martwe i zbędne,
które zapamiętają nas
najlepiej

umrzemy po raz drugi,
kiedy rozpadną się w proch

stołek, zegarek, pióro

ostatni świadekowie,
którzy milczeli jak grób
i rozsypali się
w ciszę.

Izabela Kowalczyk

* * *

Moja mama umiera
w pojednaniu z morfiną i bogiem
zapłatanę w kropiówkach jak nieboskie
stworzenia
Ręce co wcierały oliwkę w suchą skórę
dziecka

zaczęły blade warkocz niezbudujne
loki na bal w sukience uszytej z niczego
z nieziemską cierpliwością
drżące zanurzone we wzruszeniach
błogosławiły na nową drogę życia

dziś chude od jutra jeszcze
bardziej martwe pozostawiły
konfitury które nie ostygły od lata
do śmierci Tylko próg je dzieli nieskończoności

Szukam mojej mamy dobrego snu powrotu
z ciemności szpitalnego łóżka
z nieprzyjacielem w tle który wdarł się
persona non grata
w nerce płucach mózgu
patrzac mi prosto w oczy
zabiera głos w sprawie umierania mojej
mamy

nic już nie mogę
tylko chwilę ukraść maleńką raz jeszcze
by nie zapomnieć

* * *

Nie umierajcie moi bliscy
zimową porą w piątek
i nigdy w poniedziałek
na długi tygodnia początek.

Nie zdążę wypełnić cyframi
cholernie nudnych tabelk
w sobotnią noc karnawału
ubiorę rozpaczy modele.

I jeszcze do tego wszystkiego
zapewniam, że dołów kopanie
w zimowy poranek bez śniegu
wygląda za bardzo ospale.

Pomimo setki wódki,
co ma rozgrzać łopaty i szpadle
dosięga metra czterdzieści
z oziębłą żalobą na dzień.

A lzy zamarzają spadając,
serce nie bije miarowo.
Nie umierajcie moi bliscy
choćby przez zimę, chwilowo.

* * *

Anna wróciła
na obiad
w wynajętym m-2

wczoraj
porozwieszała na ścianach
wspomnienia w antyramach

spakowała w walizki
postawiła pod oknem
na jutro

dla dzieci

włożyła
różowe okulary plus 2 i pół
szuka wyjścia
w sytuacji bez wyjścia

Michał Bukowski

Jeśli

„Poeta pamięta.”

Poeta nie tylko pamięta – poeta zapisze, bo przecież „*Spisane będą czyny i rozmowy.*”

Ale jak poeta ma spisywać czyny i rozmowy?

Jak opisywać rzeczywistość? Współczesność?

To, co dla nas oczywiste i to, co nas deenerwuje? To, co przed naszymi oczami i to, co w tle?

Naszą codzienność?

Czytamy reportaże, powieści, opowiadania, wiersze... Czytamy, czytamy – to, co przeczytaliśmy, uchodzi w niepamięć, więc sięgamy po następne opowiadanie, następną powieść, następny reportaż...

...i tylko czasami to, co przeczytamy, porusza nas, porusza nasz intelekt, wywołuje emocje, tylko czasami to, co przeczytamy, pozostaje z nami jako przeżycie.

I wtedy wiemy, że obcowaliśmy ze Sztuką. Wtedy i tylko wtedy.

Sięganie w twórczości artystycznej po motyw religijny wtedy, kiedy twórczość ta nie odnosi się bezpośrednio do takiej tematyki, obciążone jest niemałym ryzykiem – religia to przecież sfera zawsze osobista, zawsze intymna, kameralna i bardzo indywidualna i jakże łatwo tu urazić czy wręcz obrazić odbiorcę.

Tadeusz Zawadowski w swoim wierszu *A jeśli Chrystus powróci* brawurowo omija te ryzyka i w żadnym momencie nie naraża się na zarzut braku szacunku wobec uczuć i przekonań religijnych czytelnika – wręcz odwrotnie: motywem religijnym nadaje swoim pytaniom wymiar podstawowych, ponadczasowych pytań o wartości, o etykę naszych współczesnych działań.

Już pierwsze słowa jego wiersza są jak uderzenie dzwonu – zestrój słów *Chrystus powróci* sięga przecież po sam koniec czasu, po dzień Sądu Ostatecznego, kiedy to rozliczone mają być wszystkie słowa i wszystkie czyny.

Ale Zawadowski nie pisze o religii – pisze o współczesności, więc wtrącenie – *tak jak obiecał* – relatywizuje ulymatywność słów odnoszących się do powrotu Chrystusa: obietnicę można przecież spełnić lub nie spełnić, obietnica nie jest dogmatem. Tym samym ostateczny wymiar rozliczenia słów i czynów słabnie i nabiera swoistego ucodziennienia – to przecież właśnie słowami „*obiecacieś/obiecacieś*” przypominamy się składającym obietnice, by nie zapomnieli o ich realizacji.

Ale przypominamy się wtedy, gdy obietnice są dla nas ważne i gdy na ich spełnieniu bardzo nam zależy – Zawadowski przekornie

Tadeusz Zawadowski

A jeśli Chrystus powróci

boję się że jeśli Chrystus powróci – tak jak obiecał – nie będzie miał Go kto przyjąć. będą organizować referenda albo obrady w grupach i podgrupach sprawdzać czy jest godzien zostać Zbawicielem. analizować pochodzenie pradziadka i prababki po wszystkich możliwych liniach. badać kości policzkowe kolor włosów oczu nawet DNA. staną po obu stronach ulicy. będą wymachiwać transparentami za lub przeciw i nigdy się to nie skończy.

a jeśli Chrystus powróci odejdę razem z Nim.

narusza tu relację między dogmatem a jedynostką: jeśli wtrącenie *tak jak obiecał* traktować nie jako proste podkreślenie istnienia dogmatu, lecz jako przypomnienie o potrzebie jego realizacji, to można je przecież rozumieć i jako wyraz podmiotowego oczekiwania na ową realizację i na owe rozliczenie i wyraz pragnienia, by nastąpiło.

Potwierdzałyby to słowa *boję się, że / ... że nie będzie miał Go kto przyjąć /* – od których Zawadowski zaczyna wiersz i po których mistrzowsko rysuje jakże dobrze nam wszystkim znany obraz: referenda, obrady w grupach, obrady w podgrupach, demonstracje, transparenty, transparenty za, transparenty przeciw... Już samo zderzenie tej pulsującej ludzkości *po obu stronach ulicy* z

ostatecznym wymiarem Sądu Ostatecznego jest zabiegiem o ogromnej sile wyrazu – a to przecież jeszcze nie koniec wiersza...

...*będą /.../ sprawdzać, czy godzien jest zostać Zbawicielem* – te słowa nie tylko deskralizują sam dogmat Sądu Ostatecznego, te słowa są zderzeniem podstawowej koncepcji wiary, a więc zespołu wartości, nie podlegających dyskusji, z regułami masowego publicznego dyskursu, w którym wszystko jest dyskutowalne i wszystko podlega głosowaniom.

Jeśli wszystko – to i Boga można objąć głosowaniem.

Jakże dramatycznie absurdalność takiego zderzenia uwypukla gorzkie konstatacji Autora.

Kiedyś fortepian sięgnął bruku, tutaj wrzask ulicy sięga nieba. Masowy dyskurs pożarł wszelki szacunek – ale czy rzeczywiście jest to zawsze dyskurs masowy?

Określając źródło komentowanych zjawisk Zawadowski używa trzeciej osoby liczby mnogiej – a więc są to „oni”. Nie „my” – lecz „oni”. Wyrażna to linia podziału i wyraźne odgraniczenie – i choć nazwa „onych” nie jest wyeksplikowana, wyraźna jest ich charakterystyka.

będą /.../ analizować pochodzenie pradziadka i prababki po wszystkich możliwych liniach. badać kości policzkowe kolor włosów oczu nawet DNA. – już sama lista opisanych czynności nieuchronnie kieruje myśl ku brunatnym czasom i brunatnym teoriom, osadzenie natomiast tych czynności w kontekście dotąd absurdalnego pytania „*czy godzien jest zostać Zbawicielem*” zastępuje dotychczasową absurdalność przerażeniem.

Bo czyż historia nie lubi powtarzać się?

Bo czyż w perspektywie historii nie dzieje się tak, że argumenty, kryteria, wartości stają się dowolne?

Czyż już gdzieś kiedyś jacyś „oni” nie nadużywali słów „Gott mit uns”?

/.../ i nigdy się to nie skończy – pisze Zawadowski, a słowo „nigdy” nieodparcie trąci wiecznością.

Antynomia wyjściowego motywu ostatecznego jednorazowego rozliczenia według zasług i wartości z jednej strony i nigdy nie kończącego się wiewowania, dyskusowania, analizowania, rozpamiętywania, głosowania – z drugiej, wprowadza do wiersza silny akcent emocjonalny: oto z jednej strony dogmat, na którego realizację się wyczekuje, obietnica, której spełnienia się pragnie, a z drugiej – pulsujący obraz aktywnej demolki we wszelkich możliwych i niemal niemożliwych – bo sięgających po absurd – przejawach.

*

Tylko siedemdziesięcioma dwoma słowami Tadeusz Zawadowski opisał współczesność i namalował obraz mięsisty, o wyrazistych, ostrych konturach. Jakkolwiek gorzki i jakkolwiek emocjonalny jest ten obraz, nie ma w nim cienia agresji czy nienawiści – nie ma w nim sznura czy gałęzi, pod ciężarem zgjętej. Już sam ten fakt jest wielkim powodem do pokłonu wobec Autora, pełnego prawdziwego szacunku – wśród wrzasków po niebo i transparentów *po obu stronach ulicy* nie jest łatwo zachowywać równowagę i bliźniego traktować po chrześcijańsku, także wtedy, gdy jest nim ktoś spośród „onych”.

Znamiennym jest, że w opisie owych „onych” nie ma choćby jednego przymiotnika, który mógłby cokolwiek sugerować. Zawadowski tylko wymienia czyny i fakty. Zawadowski nie kwalifikuje i niczego nie narzuca.

*

Kolejny powód do głębokiego pokłonu wobec Autora, to jego odwaga: padły już słowa o tym, że sięganie w twórczości artystycznej po motyw religijny wtedy, kiedy twórczość ta nie odnosi się bezpośrednio do takiej tematyki, obciążone jest niematem ryzykiem – ale prawdziwej odwagi trzeba wtedy, gdy czasy rozedrgane, przesycone transparentami, referendumami i temu podobnymi i gdy rozedrganie takie wcale nie omija tematyki religijnej – oto osoba publiczna wyznawców religii innej, niż własna, określa na wiecu mianem „ścierwa”.

A tłum na tym wiecu gorliwie bije brawo.

*

Ktoś mógłby powiedzieć, że obraz referendum i transparentów *po obu stronach ulicy*, namalowany przez Autora, jest naśmiewaniem się z demokracji i jej krytyką – byłaby to powierzchowna interpretacja. Zawadowski nie naśmiewa się – Zawadowski pokazuje wykoślawienie i jego skalę, a do tego pokazuje mechanizm tego wykoślawienia.

Zawadowski zagłąda nam bardzo głęboko w duszę.

*

W języku szwedzkim funkcjonuje kolokacja „polski sejm” („*polska riksdag*”), używana dla określenia sytuacji, w których niekończące się dyskusje zastępują konkretne działania i do niczego nie prowadzą. Określenie to nie znalazło się w języku szwedzkim wczoraj – trwa w nim od setek lat: kiedyś przecież oba narody były ze sobą całkiem blisko.

I zapracowaliśmy na nie sami. „My”, nie „oni”.

*

Tadeusz Zawadowski wiersz kończy tak, jak zaczął – uderzeniem dzwonu: *a jeśli Chrystus powróci odejdę razem z Nim*. Znów antynomie – zderzenie odwrotnych wektorów, semantycznie przeciwieństwo kierunków ruchu, a mimo to stwierdzenie pełne zadziwiającej spójności. Aż korci powiedzieć: jedność przeciwieństw (czyż nie znamy już skądś tego określenia?), bo przecież w warstwie ontologicznej – jakże piękne, nienachalne, osobiste określenie swego własnego wyboru wartości i znaczeń.

A poprzez taki właśnie wybór – wyrażenie niezgody Autora na wrzask ulicy, na brunatne teorie, na absurdalność pozornych dyskursów i pozornych demokracji. Ale tylko wyrażenie niezgody – czyli indywidualny wybór wartości, bez rzucania kamieniem, bez wskazywania sznura, bez wskazywania innym gałęzi.

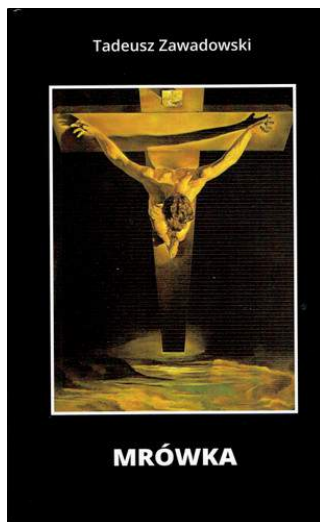
Tadeusz Zawadowski odwraca się i z godnością odchodzi.

*

Szczerze podziwiam wiersz Zawadowskiego.

W uszach dźwięczy mi jego tytuł: *a jeśli Chrystus powróci...*

Jeśli.



Czarna tęcza

Nie znam człowieka, który byłby objęty na widok tęczy na niebie. Musi pomyśleć lub powiedzieć „Ale piękna!”. Co pobożniejsi widzą w tęczy znak Boga, bo pamiętają o Biblii, że Bóg powiedział do Noego i jego synów: „Łuk mój kładę na obłokach, aby był znakiem przymierza między mną a ziemią”. W Europie utarło się też dość popularne przekonanie, że gdzie koniec tęczy dotyka ziemi, tam jest skarb zakopany... A bibliści powtarzają niekiedy za świętą księgą: „Patrz na tęczę, a błogosław tego, który ją stworzył, gdyż bardzo jest piękna w jasności swojej”.

Niektórzy ludzie są jak kolorowa tęcza, jakby zesli z nieboskłonu. Zdaje się, że niosą przed sobą wszystkie barwy tęczy: pomarańczową, zieloną, niebieską, fioletową, a czasem i czerwoną. Taką żywą tęczę była w ostatnim czasie, królowa nart z Kasinki, Justyna Kowalczyk. To ona, niczym żywa tęcza, dawała wszystkim wiarę, że ciężka codzienna praca popłaca i daje wszystkim kolejne wzruszenia...

To wspaniale, że są tacy tęczowi ludzie! Ale niestety są i tacy, którzy chodzą pod sztandarem czarnej tęczy. Niewiele trzeba się trudzić, by chorągiew sobie zrobić. Niewiele. Wystarczy nic nie robić i nieustannie narzekać. Nawet na pogodę.

Trzeci nasz wieszcz narodowy, Zygmunt Krasiński, autor *Nie-Boskiej komedii*, to smutny przykład czarnej tęczy, bo poeta całe życie smęcił i niezmordowanie narzekał, był niejako czarnym melancholikiem. Z osobistym przeświadczeniem pisał: „jak Łazarz już gnici zacząłem w trumnie – a trumna moja nie z drewna – grób mój nie z kamieni – jedno żywy, jak ja. Grób mój, to ja sam. Ja trup, ja umarły, ja martwy”.

Georges Sand, powieściopisarka francuska (1804–1876) słała listy do Krasińskiego z nagłówkiem „Mój drogi trupie”!

Spytajmy siebie czy przypadkiem nie jesteśmy czarną tęczą?

Emil Biela



Rys. Barbara Medajska

Agnieszka Zięba-Dąbrowska

Marakesz

Djemaa El Fna (najstłanniejszy plac w Marrakeszu)

Zostałam rzucona w wielki wir zabawy, targu ulicznego, smaków i barw jakie rozpościerają się na egzotycznym placu Djemaa El Fna w Marrakeszu. Podziwiam dorożki i uroczy koniki, które zalotnie potrząsają główką, okoloną bujną grzywą.

Są zwykłe białej, brunatnej i czarnej maści z lekko porozrzuconymi, szarymi plamkami. Wzdłuż ulicy rząd palm nasycy dostojeństwem prężące się niczym kot powietrze.

Robi się coraz gęściej od gwaru i skwaru. Co rusz ktoś kogoś potrąca przechodząc. Moje towarzyski nikną w rozpadającej się kurtynie zmierzchu. Umowne miejsca umykają tajemniczo. Człowiek przesuwają obrazy dłońmi szukając wyjścia z zaułku.

Postura minaretu Kotouobija chwytają w swe ornamenty najeżone ostrza ostatnich słonecznych promieni. Zdążają jeszcze na chwilę usiąść na przysadzistym sagowcu po czym rozpędzone śmiechem młokosów zastygają w afrykańskiej masce.



Wchodząc na plac dźwięki piszczałek, fujarek i afrykańskich rytmów stają się coraz bardziej przenikliwe. Oblicza zaklina-czy węży meandrują w jakimś szatańskim grymasie ekstazy. Gady wykonują piruety eksplodując mozaiką łusek i chyboczą swymi ciałkami poddając seansowi tresującego je afrykanera.

Wydaje się, że wszystko przechodzi w nieodgadnięty skowyt dzikości. Ozdobne chusty połykają kroki tłumów wdziecząc się kolorystem w dłoniach zachłannych na dirchamy berberyjskich kobiet.

Muzycy gnawą szczerzą zęby w spektakularnym trio pobrzękując metalowymi dzwonekami i poklepując przy tym zarozumiałe bębny. Do tego ryk sze, samochody, motocykle. Cokolwiek się rusza ma wstęp na ten wariacki spektakl.

Z upływem czasu powietrze się ochładza, ale nie atmosfera. Nad zadaszeniem

straganów rozbłyskują lampki, energicznie wachlując iskrami podniecenia. Chmury tłoczą się w granat i róż, który uzupełnia niebo pomadką odcieni. Armia kupców zachwala towary, których obfitość nie mieści się w szkatule oka.

Owoce prosto z drzew, gdzie o poranku zostały zebrane lądują w ustach smakoszy zmieniając niekiedy stałą postać w wyciśnięty sok. Głowa zupełnie nie służy mi do racjonalnego myślenia. Zresztą trudno ją utrzymać na wodzy.

Czarni mieszkają się tutaj z berberyjską nacją tworząc swoisty mikroklimat. Połykacze ognia rozdają emocje na linii języków żywiołu. Żonglerzy wprawnie manipulują piłeczkami przewiercając jednocześnie wzrokiem zdumionych gapiów.

Fujarki wkręcają powietrze w tryby zwinnych palców marokańskiego włóczęgi. Skoczne małpki zawadiacko łypią oczętami przechadzając się frywolnie po ramieniu pana.

Większa grupa osób tworzy zwarty krąg napierając natarczywie na opowiadacza bajek. Staruszek snuje najbardziej niewiarogodne legendy, jakie kiedykolwiek miały miejsce. Jego ciemna twarz jest poorana bruzdami zmarszczek, ale błękitny ubiór dodaje mu wigoru i pewności siebie. Gestykuluje dłońmi jakby chciał uchwycić unoszącą się nad nim magię wieczoru. Nagle cały ten teatr na powietrzu zastyga. Postaci nieruchomieją w falujących bluzkach, iluminacje nogawek spodni zaczepiają o gwiazdy kąpiące się w palmowych sa dzawkach.

Trwa wezwanie muzeina na modlitwę. Uduchowieni religijnie muzułmanie zwracają się w stronę Mekki. Niechcący i ja zostaję włączona w ten trwający od wieków rytuał muzułmańskiej wspólnoty.

Cisza zalega gwarny plac, wydawałoby się chwilę wcześniej nie do ujarzmienia. Zaraz potem cała machina marokańskich didaskalii od nowa wytacza swoje najcięższe działa kierując je prosto w zagubionych turystów. Odsłaniają się kolejne i następne rewiry ludzkiej pomysłowości. Niewielkie korytarze, gdzie usytuowana jest znaczna część soku rozwidlają się nagle jak skrzydła drapieżnego ptaka.

Migają damskie botki, wyszywane złotą nicią, o skórce delikatnej namorzynem potu wprawnych rzemieślników. Ich giętka poufałość przyciąga damską klientelę pragnącą mieć w posiadaniu to wspaniałe cacko na własnych stopach. Wtedy można się poszczycić cennym nabytkiem wprawiając je w spontaniczny i wyrafinowany chód. Na jednym ze stoisk misa pełna cytryn tworząca górę żółtych kuleczek, odwróconych „kuperkiem” do przechodniów. Świecą

się swym łojotokiem namaszczenia. Chyba je wziął w dłonie sprawny masażysta i technikami relaksu wy dobył z nich gejzer tajemniczej intensywności. Spomiędzy przytulonych do siebie cytrusów, prezentujących krągłe kształty wyglądają gałązeczki pietruszki. Listki zwisają, jakby chciały uciec, wydrążyć spod masy napierających na nie cytryn. W końcu jednak się poddają, związają swą atrakcyjność w zdesperowany rulonik, zmęczone jak biegacz na mecie, próbujący złapać oddech.

Skąpane są w ekspresyjnej czułości cytrynowego pocierania o siebie.

Chwilę potem prezentują się baranie głowy. Nie jest to dżentelmeński widok. Otwarte pyski w ostatnim pomruku światła świadczą o bezwzględności ich oprawców. W momencie uniesienia oczu zagryzane zęby wypuszczają na widok publiczny parę świadomości. Skwierczą gębule zaprawione dymem. Ułożone rzędami salutują zgodę na zastrzyk adrenaliny.

Wreszcie akrobacje torebek, przerzucanych z rąk do rąk, aż do nasycenia zmęczonych spojówek w roztargnieniu mrugających kształtów i skórzanych odcieni.

Rwetes i maniery placu przyprawiają o obłęd. Grupa turystów ląduje w końcu niesiona tłumem w berberyjskiej zielarni. Nie może zabraknąć tam mnie, aby wysłuchać arcyciekawego wykładu nt. właściwości ziół.

Kierownik zielarni zadziwiająco dobrze mówi po polsku. Czaruje uśmiechem niezdecydowane panie i zamyślonych panów. Żągluje stoiczkami jak kapsułkami szczęścia, wkraczając niekiedy w osobiste rewiry ludzkiej psychiki.



Wzbudza to gromki, niekontrolowany śmiech, lub pąki rumieńców na twarzach. Kobiety interesują się przyprawami, najlepiej takimi, które pasowałyby do każdego dania.

Herbatki z miętą, szafranem, to rarytas i należy mu ulec. Słoiki połyskują czerwienią, zielenią, mutacją kolorów, wezbraną falą grudek i szorstkości. Berber zerka w stronę małżeńskich par, które chcą wypróbować marokańską viagrę z orzechów i miodu.

Ogród Majorelle

Z ciekawością wacham kolejne próbki rozpylanych zapachów. Śledzę toczącą się kropelkę po skórze pomarańczowego olejku, służącego do wcierania w skronie przy nadmiarze stresu.

Marokańczyk jest tak zaabsorbowany trikami handlowymi, a Polacy tak w niego wstuchani, że nawet nie dociera do ogółu zaginięcie jednej osoby z grupy. Na boku trwają szepty i narady jak doprowadzić na miejsce kobietę, która w szale zakupoholiczności zboczyła z trasy przewodnika.

Rozesłano już wici i elektroniczne sygnały. Tymczasem śniady Berber oferuje coś specjalnego „zapach Maroka”.

Krem różany wciągamy w siebie jak eliksir. Ma półpłynną konsystencję o białej barwie. Przenika moje zmysły do szaleństwa, które niknie w tumanie kurzu wzniesianego przez klekoczące auto. Gdy smakuję nim skórę reaguje natychmiast. Staje się wilgotna i delikatna. Przenosi mnie do różnych ogrodów, gdzie w skupieniu przegarniam krzewy nasączone słońcem.



Pochylam się i łagodnym ruchem obejmuję tlenione aksamitem płatki. Mój zachwyty roślinie za każdą chwilą w mnóstwie kwiecia. Rozrasta się ocean pól magnetyzującej woni.

Czuję w sobie lekkość i ukojenie. Nie przeszkadzają mi drobne ukłucia maleńkich „kolczyków” życia. Maj kołyszce wiatrem ich dumę i erotyczność. Zdążyłam, by je zasadić w swej pamięci i posiąść na zawsze. Płyne kremowa fala do moich ramion, obolałych ze zmęczenia i napięcia.

Przenosi ponad pustynią i zakłada okulary Atlantyku. Ślady są wszędzie. Na pierśsiach przycienionych sukienką oddechu szafirowych odnóży Agadiru. Nogach niosących mnie połaciami brunatno czerwonej planety Afryki i pępku będącego nabrzmiałą harfą urodzin moich dociekań oraz wędrowek.

Przeobrażam różaną arkadię w motyw lirycznego raj. Czas błaga o litość, apeluje, że skwar i nawet łaza nie pomoże spieczonej tęsknotą matce-ziemi. Natychmiast dostrzegam ludzi ciągnących wąską stróżką w kierunku autokaru. Jeszcze w przelocie zakreślam modeling pocałunku i odkrywam siłę, by odwrócić się i odejść zostawiając za sobą egzotycznie tańczący gobelin róż. Krem wchłania swój byt w moją limfatyczną naturę. Małe pudełeczko mieści ideał zapachu marokańskiej kobiety.

Brama raj. Otwiera się przede mną w najbardziej spektakularny sposób. O poranku, kiedy ciało jest odprężone, a umysł niczym nie zmącony. Spotkanie z naturą w ogrodzie Majorelle tłumi smutki i niepokoję podsycając ekstazę obcowania z pięknem.

Kolor blue bierze mnie we władanie po francusku, z pełną gracją i zaskoczeniem. Jędrna ceramika z Fezu maluje wyobraźnię na żółto i pomarańczowo, każąc podziwiać jej wygięcia w istic profesjonalnych wzorach.

Czuję spontaniczność mojego oddechu. Wczesna godzina prowadzi słońce alejkami unoszących się stóp. Nos odkrywa zupełnie nowe możliwości transformacji zapachów, a wzrok odpływa w sielską krainę barw.



Ogromne kaktusy strzelają w górę, jedne wysmukłe jak szpady, najeżone kolcami, tudzież opasłe sokiem swej seksualności, z lekka popadające w męski baryton powagi. Moje zmysły wirują między tak oryginalnymi okazami. I wreszcie kaktus w kształcie kuli, z berecikami, do którego przypięte są owalne broszki.

Bambusy filtrują powietrze delikatną w dotyku skórka. Aranżują prześwity promieni obejmujące ich wąską talię. Oczywiście niebiańska fontanna wybuchu aplauzem zadowolenia i szczęścia móc podarować choć parę kropli sprężystego pocałunku najbliższym roślinkom.



Ogród kołyszce tajnikami swego amuletu. Wycisza i zachwyca kochanków, zagubionych, podeksycytowanych malarskością widoków. Na żwirkowatym podłożu wzgórek innej odmiany kaktusików wiję się niczym węże w poszukiwaniu światła. Podgrupy pieczarkowatych siedlisk liżą wyniosłość rytmu palców ciekawskich.

Palmy obezwładniają niebo, zaginając gałązki tańcem wiatru. Każdy szelest ma znaczenie symboliczne w spektaklu tej drzewiastej dżungli.

Sadzawki, obramowane odcieniem in-

dygo migotają klejnotami ciszy. Brzask wyłącza rumieniące się liście u stropu altanki. Szmaragdowe filary zabudowanej alejki wychwytyują promienne refleksy turystów. Kłaczka, liany, odrywające się kawałki kory tworzą naturalne złoża ekosystemu, wachlowane przelotnym muśnięciem ręki. Schodki gustują w kafelkach poddając się czułości boskiej ornamentyki. Kręci się w głowie od wdzięku, subtelności i witraży kwiatowych. To uskrzydlenie, uduchowanie wrażliwej sfery świata dopada moją osobę w ogrodzie Majorelle. Pożądanym wzrokiem łapię każde poruszenie dystygnowanych istot. Wracam teraz do altanki będąc na chwilę cesarzową lub księżną. Fotografując się w manierystycznych pozach, spijam wyobraźnią rosę z toczonych kolumniek o barwie granatu. Ścianki koloru wiosennego groszku przytulają westchnienia wtapiających się w sztafaż przyrody wędrowców. Daszek nakrapiany brzoźwą dachówką koronuje altankę trójkątnymi bryłami, za nim egzotyczny tercet tworzą mięsiste agawy. Pasek czerwieni odzyskuje władzę w tęczę oka. Biel namaszcza święto intymności romantycznych przechadzek. Wkrada się niezauważalnie pod koronkę kołnierzyka bluzki.

Czas mija, ale ogród starannie dobiera repertuar dnia. Lilie wodne zapraszają do odpoczynku na ławce. Otacza mnie genialny obraz botaniczny.

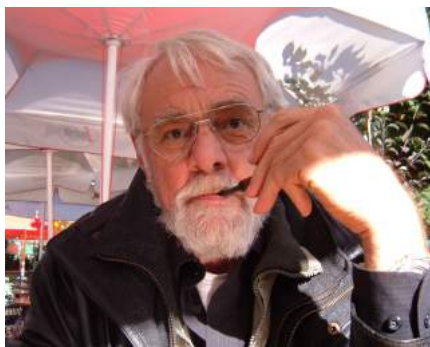
Dotykają się cienie drzew, malując rzęsy kwiatami lotosu. Prochy Saint Laurenta docieklawie badają księżycowe światło w szpalerach róż. Modny dziś mają wygląd. Jaśmin uruchamia wyobraźnię oliwkowej cery u córki japońskiej pary. Śni Jaque Majorelle za gwiazdą granicą o Villi Oaris ze stylem Art Deco. Schodzi do pracowni sprawdzić, czy wszystko w porządku. Potem szkicuje jak szalony postać dziewczyny, służącej za muzeum, którą spotkał wczoraj w jednej z herbaciarni Marrakeszu. W końcu goni bilbila ogrodowego, małego, afrykańskiego ptaka, który hałaśliwym śpiewem przerywa mu natchnienie.

Ruch jest wyzwoleniem, egzotyka marzeń. Juki dumnie się wynoszą, szczytują w słońcu ich białe dzwoneczki służące listeczkom o włóknistej duszy. Podpatruję energię tamaryszka w sąsiedztwie kobaltowej misy. Nieco blade, głaszczące swoje grona motylkowych pociech. Aloesy też ciekawsko zerkają na „białych”, aż wypuszczają igiełki z liści tworzących zwarty pak. Opuncja bierze się za bary, chwytając swe maczugowate pędy. Kandelabry Euphorbii lednie, z rodziny wilczomleczy zdobią żółte piłeczki kwiatowego urodzaju. Figa rozpuszcza długi włos, płynąc kaskadą pędów do gęstego lasu.

Bananowiec przystraja się w suknię z falbanami na atrakcyjny wieczór. Chwila rozstania z egzotycznym światem jest osobliwa i trudna.

Za murem rozpada się sen, potęguje upał. Marakesz tysiącnieje w pojazdach i tłumie. A ja tkwię zaczarowana rajem Majorelle.

Zamyślenia



Tak trochę od kuchni

...Czy o nich ktoś jeszcze pamięta? Mam nadzieję, że czas ma strukturę ruchomych piasków. To, co dziś zasypuje, niebawem odkryje na nowo i przypomni, że były takie wybitne indywidualności.

Stefan Jurkowski

Dziś tak trochę wakacyjne, po prostu od kuchni. To fakt, iż już starożytni Rzymianie wiedzieli, że to właśnie w kuchni dzieją się najciekawsze rzeczy. W niej zachwycają przecież aromatem i smakiem kulinarne efekty, a zaświadcza o tym suto zastawiony stół oraz nasze to mlaskanie i pomruki zachwyty nad kunsztem postawionych potraw. Ale kuchnia to także niedostępna tajemnica pani domu. Czyż nie podobnie dzieje się w literaturze? Czy każde dzieło literackie nie stanowi takiego smakołyku, nad którym pracują literaci? O, szuflado pisarza, wzdychał swego czasu Tadeusz Kwiatkowski; szuflado pełna cymesów, niedyskrecji, odważnych sądów, opisów charakterów, wydarzeń zza kulis prywatnych mieszkań, cytatów „niebłagonadiożnych”, słów wychodzących z ust polityków i działaczy, wycinków z gazet, nieprzyzwoitych fraszek i dystychów, dowcipów politycznych szeptanych na ucho, ocen-zurowanych i skracanych felietonów przefiltrowanych przez wewnętrznych i wewnętrznych cenzorów... Uff! I po takie to literackie odpadki sięgnął wspomniany tu autor, wydając w roku 1987 to niezbyt opasłe dzieło w KAW-ie zatytułowane po prostu „Od kuchni”.

I tak, Ksawery Dunikowski przebywał pewien czas jako więzień w Oświęcimiu. Jego opowieści o tym zdarzeniu przesłuchiwał się m.in. dyrektor teatru, Karol Frycz. W końcu Dunikowski zakończył dramatyczny opiszą wtedy Frycz spytał:

– A jak długo pan profesor tam bawił?

O Fryczu, który obok dyrektorowania był scenografem, Słonimski napisał w przedwojennej recenzji teatralnej, że dekoracje pana Karola miały swoją dobrą stronę, szkoda

jedynie, że nie były nią zwrócone w stronę publiczności.

Feliks Konopka złożył do Ministerstwa Kultury i Sztuki podanie o stypendium. Uprosił on prezesa oddziału krakowskiego Związku Literatów Polskich Stefana Otwinowskiego, aby ten zainterweniował w jego sprawie. Niestety donos sprawił, że komisja nie zapiniowała podania, gdyż stało w owym donosie, że Konopka w swoim majątku kazał się chłopom całować po rękach. Podanie w końcu zaakceptowano i Otwinowski donosząc o tym pisarzowi zapytał, jak to było z tym całowaniem. Na to Konopka:

– Tak, ale całowano oczywiście ręce w rękawiczkach.

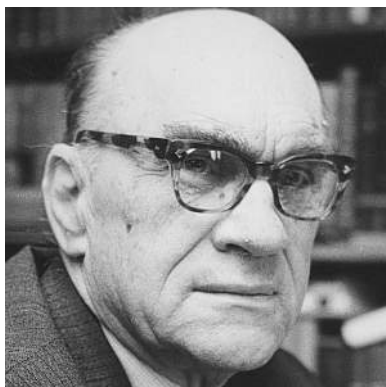
Królowa belgijska Elżbieta, którą nazywano w tamtym czasie Elżbietą festiwalową, ponieważ jeździła po Europie na wszystkie festiwale muzyczne, otóż będąc w Warszawie spytała Jarosława Iwaszkiewicza, który ją oprowadzał po mieście:

– Czy pan jest katolikiem?

– Tak. Wierzącym, ale nie praktykującym.

– A może pan jest komunistą?

– Tak. Praktykującym, ale nie wierzącym, odparł bez namysłu pisarz.



Jarosław Iwaszkiewicz

Na zjeździe dramaturgów w Warszawie (marzec 1951) biadano nad niedostatkiem polskiej dramaturgii i schematyzmem uprawianym przez autorów. Jerzy Pomianowski powiedział w swoim przemówieniu:

– Nasi dramaturgowie rozwiązują wszystkie problemy sabotażu, szpiegostwa i wrogiej propagandy metodą „ubeus ax machina”. Państwowe Nagrody Literackie w roku 1950 otrzymali m.in.: W. Broniewski, K. Brandys, M. Brandys czy T. Borowski.

I dalej znakomite danie kuchenne: Konstanty Ildefons Gałczyński zanim wybuchła wojna, gościł w Berlinie. Miał tam wygłosić odczyt dla kolonii polskiej. Sala wypełniona była po brzegi. Temat odczytu to osiągnięcia kraju po odzyskaniu niepodległości w 1918

roku. Poeta wyciągnął Mały Rocznik Statystyczny i zaczął czytać daty, cyfry i procenty. To była godzina wielkiej nudy oczywiście. Publiczność odetchnęła, kiedy zamknął książkę, czekając, aż coś powie. Wtedy oświadczył:

– Wobec takich danych cóż może dodać poeta? I opuścił salę.



Konstanty Ildefons Gałczyński

Na spotkaniu autorskim z Jalu Kurkiem i Karolem Szpalskim wynikała dyskusja. Jakaś młoda panienska poprosiła Kurka, aby powiedział, jak też poeta zaczyna dzień. Znany z bogatych opisów przyrody pisarz, przemawiał kwiecistym językiem pół godziny, dodając na zakończenie, że po powrocie z łona natury, wraca do domu i siada do pisania. A jak zaczyna swój dzień satyryk, zaszczebiotało dziewczątka. Szpalski odparł bardzo poważnie:

– Ja robię to samo, co mój kolega Kurek, tylko jeszcze przed wyjściem z domu myję zęby...

Znana ze swej złośliwości i dowcipu Maryna Zagórska spotykając młodego pisarza Jacka Bocheńskiego, zagadnęła go na ulicy:

– Pan nie dostał nagrody państwowej w tym roku?

– Nie – odparł Bocheński. – A dlaczego pani pyta?

– Bo przecież dawali na literę B, wyjaśniła, mijając go obojętnie.

W kawiarni ZLP w Warszawie eksponowano obrazy córki Stefana Żeromskiego, Moniki. Janusz Minkiewicz obejrawszy wystawę, orzekł zgromadzonym:

– Podobają mi się jej obrazy. Muszę się tylko z nią ożenić, żeby dać jej jakieś nazwisko...

Cóż, tych smakowitych kąsków można by tu mnożyć. Może jeszcze kiedyś przytoczę ich więcej, zważywszy, że anegdota literackich pióra T. Kwiatkowskiego nigdy nie wznowiono, a szkoda.

Kazimierz Iwosse

Kozetka (24)



Pierwsza dama. Dama serca. La Dame De Fer

Prawdziwej damy nigdy nic nie jest w stanie zaszokować ani zaskoczyć.

Agata Christie

Ludzie mają różne priorytety. Ktoś mógłby pomyśleć, że żyję tylko modą. Nic bardziej mylnego. Żyję z pasjonatem motoryzacji, więc najczęściej słyszę o koniach, oponach, silnikach i tak szczegółowych kwestiach mechanicznych, że naprawdę kobiecie nie przyszyby do głowy. On słucha o różnych kostiumowo-obyczajowo-społecznych przypadkach, które faceta kompletnie nie obchodzą.

Joanna Friedrich

Tak, być może, mogłaby wyglądać jedna z definicji miłości.

Dorośli ludzie, o ile nie uśpią w sobie dziecka, mają w co się bawić do końca życia. Pisanie o modzie, świecie kobiecych fatalisków i sekretów relaksuje mnie prawie tak dobrze, jak malowanie paznokci.

Podobno kobieta podczas malowania paznokci jest najbardziej bezbronna.

Faktycznie jestem bardzo ruchliwa, a to moment, kiedy zamieniam się w głaz – odruch wyuczony latami poprawek „lakierowania”.

Podobne namaszczenie można zaobserwować u facetów myjących swoje ukochane auta.

Pełen zen.

Czy raczej idealna pustka, mówiąc no-

menklaturą Wschodu.

Numer 1 na mojej liście „must have” jest czerwień, tradycyjny kolor wschodu i to nim pokrywam najchętniej paznokcie, usta i wybieram sukienki w tym kolorze.

Ponad listą „must have” powinna zaistnieć lista książek, bo nie wyobrażam sobie bez nich życia.

Aktualnie znajduję się pomiędzy Carycą polskiej mody, Jadwigą Grabowską („Caryca polskiej mody, święta i grzesznica”. Marta Sztokfisz), a Barbarą Hulanicki („Barbara Hulanicki. Ważne jest tylko jutro”. Judyta Fibiger).

Wszystkie czasy i dziedziny mają swoje pierwsze damy, damy serca, żelazne damy. (La Dame De Fer to, oprócz Margaret Thatcher, także przydomek wieży Eiffla).

Wpływy kobiet kształtują się inaczej niż mężczyzn, podążają zgodnie z innymi priorytetami, są szybsze i zwinniejsze. Zawierają więcej słów i podwójnych znaczeń, zupełnie jak mózgi ich właścicieli.

Moda jest nie tylko miliardowym biznesem, jest również lustrem rzeki tych pływów.

Samo zjawisko mody ma podwójną (jakże kobiecego rys!) naturę: łączy dążenie do wyróżniania się i zwracania na siebie uwagi z zaspokojeniem potrzeby przynależności do grupy społecznej.

Choć zniknął podział na stany i klasy (mówi się, że w ostatnich latach zanikła klasa średnia, nie mówiąc o inteligencji i pozostałościach monarchicznych – współczesna demokracja opiera się właściwie na podziale na biednych i bogatych), w modzie nadal widać chęć ostentacji i emanacji: Zupełnie jak w jej początkach – bogactwo ma olśniewać i skłaniać do uległości (w dosłownym i przenośnym znaczeniu).



Jak często ubieramy się tylko po to, aby podkreślić swój status? Jeździmy jak najlepszymi autami, mieszkamy w jak najlepszych dzielnicach i podróżujemy w najpopularniejsze zakątki?

To jedna z tajemnic ludzkiej natury.

Zaspokajanie potrzeb innych i podkreślanie własnej indywidualności.

Tę umiejętność w stopniu najwyższym posiadają kobiety dlatego nazywają nas szyją a panów głową. I to wcale w poważnych opracowaniach naukowych.

Mówi się, że wszystkie wojny zaczynają się z powodu jakiejś Heleny (władzy, polityki, ropy, kasy, ambicji).

Jak pośród tego wszystkiego damą być?

I znowu, jak w czasie kiedy ostatnio pisałam o damach, na naszym rodzimym podwórku, z pomocą bieży pani Małgorzata Rozenek-Majdan z drugą edycją swojego programu o damach.

Chciałabym, aby zacytowała w nim czasem takie kobiety jak Jadwiga Grabowska i Barbara Hulanicki.

Albo spróbowała ubrać swoje podopieczne w stylu Caroliny Herrery, która znowu mnie oczarowała przepiękną kolekcją.

Inspirowaną jej ogrodem z wenezuelskiej posiadłości. Motyw kwiatów mimozy, optymizm zawarty w kolorach i wytworność połączona z poczuciem humoru – wszystko to pozytywnie rokuje na przyszłość:

Ach! Damą być!

Mateusz Skrzyński

Kołysanka

Czołgał się w stronę wyjścia a ja stałem obok i nie mogłem się ruszyć.

Ślad, który zostawiał po sobie był szeroki, czerwony, śmiertelny.

Ten cholerny bar – myślałem. Mogłem wybrać każdy inny, ale wybrałem ten cholerny bar na uboczu.

Wierzyłem, że nie lubię się z życiem.

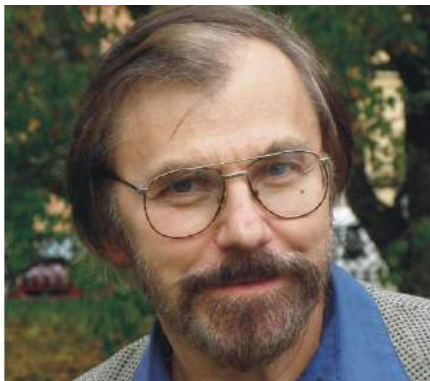
Wielki skurwiel patrzył na mnie w rękę trzymał nóż a ja kochałem życie.

Wmawiałem sobie, że mógłbym puścić je bez żalu. Ale to było kłamstwo dalekie od prawdy jak jeden kraniec wszechświata od drugiego krańca wszechświata.

Później ten co się czołgał dotknął drzwi i zmarł a ten co miał nóż schował go do kieszeni.

Złożyłem zeznania, potem puścili mnie do domu. A kiedy kładłem się spać przysięgam cały świat zaśpiewał mi najpiękniejszą kołysankę.

Listy do Pani A. (109)



Krówska na pomniku

Miła Pani!

Niedawno na krótko odwiedziliśmy z Przemkiem, bratem Ani, Gdańsk. Miejsce typowo wakacyjne, choć to przecież duże miasto. Ale inne powietrze, inna atmosfera. Trochę zwiedzaliśmy, pojechaliśmy też tramwajem do Stogów. Był dość chłodny, ale ładny dzień. Na plaży jeszcze cisza, mało ludzi, szybowały mewy, w powietrzu zwinne i lekkie. Można więc było pełną piersią odetchnąć morskim powietrzem niezaprzeczalnie gorzka i dezodorantami na brudnych, spoconych cieleciskach.

Następnego dnia pojechaliśmy na Westerplatte. Tu sytuacja przerosła samą siebie. U wejścia na cmentarz, bo przecież to wszystko razem jest cmentarzem, miejscem – jak piszą – uświęconym krwią poległych, stragany z tandetą: maski Putina i Merkel, hełmy, sztuczne granaty, karabiny, niezdarne modele pomnika, baloniki i piszczałki, koszulki z motywami pirackimi... Słowem komercja, bezguście, a przede wszystkim krzyk, hałas, przepychanie się dorosłych i dzieciaków. Zero jakiegś powagi przynależnej temu historycznemu miejscu, w którym ginęli żołnierze; w którym znajdują się ich groby. Istna banda debilów.

Nie zauważyłem, aby ktoś zwracał uwagę dziecku, gdzie się znajduje, opowiedział coś o tym miejscu, o roli, jaką odegrało w historii. Jakaś matka, na pytanie dziecka, co to za pomieszczenie, odpowiedziała: „jakiś pokój”. Chodziło o ruiny dawnych koszar, w których były stanowiska strzelnicze.

Szczyt wszystkiego, to zachowanie ludzi przy pomniku: bieganie, wdrapywanie się na cokół, robienie tysiąca selfie. I to nie tylko dzieci się wdrapywały, ale i stare krówska ledwo utrzymujące równowagę ze względu na wielkie obwisłe piersi i brzuszyska. Byłoby to nawet zabawne, ale nie w tym miejscu. Pomnik wyglądał dosłownie jak oblepiony przez insekty. Dicz, po prostu dicz! Czekałem, aż wreszcie ktoś spadnie, ale niestety los pozbawił mnie tej rozrywki i satysfakcji.

Nie przeceniam mądrości ludzkiej. Myślę, że jest dziewięćdziesiąt procent idiotów w społeczeństwie. Zwrócono się kiedyś do straży miejskich, by opowiedziały o najdziwniejszych zgłoszeniach. Oto pewna „intelektualistka” zadzwoniła z prośbą o interwencję, ponieważ... morze szumi zbyt głośno, a ona nie może spać. Ktoś inny skarżył się, że woda w morzu jest za zimna. Było wiele takich głupich, absurdalnych zgłoszeń, co tylko świadczy o poziomie próżni w wydmuszkach noszących – nie wiadomo dlaczego – miano głów. A potem dziwny się tzw. elektoratowi, „naukowcom”, decydem. Stąd idiotyczne zarządzenia i ustawy będące żywym zaprzeczeniem logiki i zdrowego rozsądku.

Chcąc obcować z mniejszością, która reprezentuje nieprzeciętny poziom, poszedłem na spotkanie z Jackiem Łukasiewiczem, który mówił o relacjach pomiędzy Różewiczem a Getem Stankiewiczem. Ci dwaj wybitni artyści, tak różni w swojej sztuce, a przecież jakoś sobie pokrewni, w osobliwy sposób uzupełniali się, inspirowali nawzajem własną sztuką. I Różewicz, i Get patrzyli na własne dzieła w sposób twórczy, niekonwencjonalny. Wrażliwość, wyobraźni, wysokiej kultury, a nade wszystko talentu nie można wymagać od wszystkich. Smutne jest tylko to, że zaledwie nieliczni spośród owych „wszystkich” mają wyższe ambicje, wykraczające poza piwo, selfie i discopolo.

Po spotkaniu powspominaliśmy z Profesorem Jackiem dawne czasy, kiedy wśród nas byli jeszcze Stanisław Grochowiak, Zbigniew Jerzyna, Zbigniew Irzyk, Józef Szczyпка, Zbigniew Dolecki, Andrzej K. Waśkiewicz...

A potem tygodniowy plener w Staszowie, który od lat z wielkim powodzeniem organizuje Stanisław Nyczaj. Początek pleneru przebiegł w bardzo smutnej atmosferze. Dotarła do nas wiadomość, że zmarła Ewa Wojtasik, przede wszystkim bardzo dobra poetka poza tym wieloletnia uczestniczka i dusza plenerów, skarbniczka, opiekunka uczestników. Była znana z wielkiej serdeczności, empatii, ofiarności. Wszyscy poczuliśmy się jej śmiercią przynębeni.

Jak zwykle pojeździliśmy po kielecczyźnie. Urokliwym miasteczkiem jest Raków, dawne centrum arianizmu. Niegdyś Akademia Rakowska, dzisiejszy Dom Wójta, to bardzo ciekawe muzeum odzwierciedlające historię miasta i jego mieszkańców. Najbardziej lubię oglądać foty przedwojennych miejsc, rynków bez bruku, oświetlenia, czasem tonących w błocie. To ma swój urok. Dziś te same miejsca są już inne, brukowane, z latarniami, świeżymi tykami; kolorowe, czyste niczym w skansenie.

Chmielnik też robi wrażenie. Dawnie zamieszkały głównie przez Żydów stanowił ośrodek ich kultury, a i dziś jeszcze kulturuje pamięć tamtych czasów. Piękna jest synagoga, odrestaurowana, zamieniona na muzeum, ale jednocześnie przystosowana do odprawiania nabożeństw, co ma tam miejsce od czasu do czasu. Okazały jest kościół katolicki, a także rynek, przy którym jest wiele odnowionych, starych kamieni-

czek.

To były atrakcje turystyczne, nie licząc literackich. Chyba wszyscy uczestnicy pleneru mieli swoje prezentacje, czytali wiersze albo prozę. Prozaicy byli w mniejszości: Elżbieta Strzałkowska, Jan Chruśliński, Włodzimierz Kłaczyński. Ale dla wszystkich starczyło czasu.

A ja byłem wyróżniony specjalnie. Staszek Nyczaj zorganizował dwugodzinne spotkanie jubileuszowe z okazji pięćdziesiątej rocznicy mojego debiutu poetyckiego. Opowiadałem o sobie, o wierszach, które czytałem. Jeśli Pani tam była, to wszystko słyszała, a jeśli nie, to podaję link do filmu rejestrującego całe spotkanie <https://www.youtube.com/watch?v=6uwrvmJ14s>. Jeśli będzie Pani miała ochotę i cierpliwość, to serdecznie zapraszam.

To jubileuszowe spotkanie poprowadził Stanisław Nyczaj, który zaproponował, by niektóre moje wiersze interpretowali obecni na spotkaniu poeci. A więc z dużym wyczuciem i powodzeniem czytali „mnie” Joanna Rzodkiewicz, Janusz Siek, Janusz Szoł. Świetny podkład muzyczny dał Kamil Kondek, który dodatkowo zrobił mi wzruszającą niespodziankę. Oto zaimprovizował muzykę do mojego wiersza „Pocztówka do ciebie” („Studnie Andersena”). Świetnie zaprezentował to wokalnie, wszystkim się bardzo podobało. Mam nadzieję, że utwór ten wejdzie do jego repertuaru. Kondek to wyjątkowo utalentowany, nieprzeciętny artysta muzyk. Małgorzata Siemieniec, pieśniarka towarzysząca tym plenerom od dawna, odśpiewała kilka pieśni, co podkreślało klimat liryczny spotkania.

Następnego dnia, na prośbę Staszka Nyczaja poprowadziłem spotkanie z Benedyktem Kozięciem, świetnym poetą, daleko wykraczającym poza granice Połańca, gdzie mieszka, i Staszowa, gdzie pracuje. Wydał był właśnie polsko-bułgarski wybór wierszy, tłumaczonych przez Łyczerza Seliaszkiego. I to była okazja do promowania i zaprezentowania bogatej twórczości Kozięcia. Mówiłem o jego poezji, musiałem też poetę aktywizować, bo Benek jest niezwykle skromny i nie lubi opowiadać o sobie. Polecam Pani film z tego spotkania. Jest pod tym samym adresem, co mój jubileusz.

A zatem pełna rekompensata zacierająca niesmak po zachowaniach troglodytów. Chyba jednak nie warto poświęcać im uwagi. A zatem życzę Pani obfitującej w artystyczne doznania dalszej części lata –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Dość TVP!

Przyznam się (bez żadnego zażenowania), że nie oglądam telewizji publicznej. Pewnie niezbyt wiele osób zaskoczy to wyznanie – mam nadzieję! Cóż bowiem oferuje nam nasza telewizja, która – przypomnę nieśmiało – pełni ogólnopolską misję społeczną? I co to jest w ogóle misja społeczna w kontekście programów telewizji publicznej? Myślę, że nikt nie jest w stanie odpowiedzieć na te pytania. A dlaczego? To proste! Bo misja społeczna w TVP polega na edukowaniu społeczeństwa serialami i prymitywnymi programami. Jakby tego było mało do publicznej telewizji dorwali się kolejni rządcy i utworzyli z niej swoiste ranczo, na którym robią, co chcą. Postanowiłem więc, że przestaję płacić abonament na telewizję publiczną, a kwotę abonamentu zamierzam przelać na konto platformy cyfrowej – którą oglądam – i wykupić dodatkowo, interesując mnie programy...

Andrzej Dębowski

Kiedy ogląda się programy telewizji publicznej ma się wrażenie, że jesteśmy w jakimś latynoskim kraju, rządzonym przez nawiedzonego, samozwańczego dyktatora. Program telewizyjny składa się głównie z wystąpień kolejnych kolegów prezesa partii rządzącej. Nawet relacje sportowe przerywane są w celu poinformowania – rządowego wiedzy społeczeństwa – o kolejnych sukcesach wybrańców narodu. O przepraszam, wystąpienia te są poprzekładane żenującymi serialami.

Nakręcono od tej pory kilka tysięcy odcińków tych pouczających i (co ważne) rozwijających intelektualnie gospoście domowe seriali. Wynika z nich jedna wielka prawda: lepiej być bogatym niż biednym, uczciwym niż nieuczciwym, zdrowym niż chorym. Od czasu do czasu pojawiają się w programie I lub II wartościowe programy,

ale traktować je należy jako rodzynek w zakalcu. Polityka personalna kierownictwa telewizji publicznej polega zaś na tym, żeby pozbywać się swoich najlepszych prezentatorów i dziennikarzy. Dobrych według oceny chlebobawców... Bo przecież najlepsi już dawno odeszli do stacji komercyjnych, zabierając ze sobą całe rzesze widzów.

Dziś „ozdobami” publicystyki telewizji z Woronicza są ludzie, którzy powinni robić wszystko, tylko nie pracować w telewizji publicznej. Każdego dnia z ekranów telewizyjnych zalewa nas „pustostrowie” płynące z ust prezentrów, zaś partyjne oddanie dziennikarzy prowadzących programy publicystyczne jest wprost nie do wyobrażenia. Rozumiem, że każdy chce gdzieś pracować, ale – szanowni państwo – gdzie odrobina honoru?

Wydawać by się mogło, że telewizja publiczna (już choćby ze względu na monopolizację rynku abonamentu) powstrzyma się od emitowania reklam. (Reklam nie znoszę i ich brak w telewizji publicznej zachęciłby mnie, być może, do oglądania „Jedynki” lub „Dwójki”). Nic z tego. Telewizja publiczna, jeżeli chodzi o reklamy, jest jak wyjątkowo „nasycony roztwór”. Coraz częściej zdarza się, że ilość reklam w TVP znacznie „przebijają” stacje komercyjne. Ale cóż, skoro nikt się nie buntuje, nie protestuje, to dlaczego nie wykorzystywać tej dojrzej krowy, jaką są abonamenci. Oni i tak za wszystko zapłacą, szczególnie wtedy, kiedy rządzący wprowadzą w życie stosowną ustawę.

Najwięcej telewizja publiczna straciła teraz, kiedy zawładnęli nią członkowie rządzącej partii. To głównie dzięki nim przestałem oglądać Wiadomości. Kiedyś Wiadomości stały na wyższym poziomie od Faktów czy dawnych polsatowskich Wydarzeń. Wiadomości były dla mnie pierwszym źródłem informacji w TV. Nawet za czasów Kwiatkowskiego nie było takiej stronniczości jak teraz, a w TVP pracowało wielu dziennikarzy, których trudno było nazwać sympatykami SLD, PO czy innej partii z dawnego układu. Teraz tego nie ma. W TVP nie ma obecnie programów, które by mnie interesowały czy ciekawiły. Publicystyka w wydaniu TVP przestała dla mnie w ogóle istnieć. Dla mnie jest to dowód jak można zniszczyć telewizję publiczną, która na tle innych krajów była swoistym ewenementem, a teraz stopniowo zbliża się do poziomu amerykańskiej PBS – tzn. takiej, którą każdy podatnik opłaca, ale nikt nie ogląda. I bardzo dobrze. Jeśli każda kolejna ekipa robi sobie z TVP swoją partyjną tubę, to niech opłaca ją z partyjnych pieniędzy.

Szanowny Telewidzu, tak więc wygląda misja telewizji publicznej, misja, która polega na serwowaniu publice chały, kiczu i bylejakości. Fabryka gniotów i dezinformacji. Misja nieustającego odgrzewania mocno przeterminowanych filmideł, których kolejność emisji jest przewidywalna jak pory roku. Jedyną prawdziwą misją telewizji publicznej, jest niczym nieskrępowane wyciąganie łap po pieniądze od kolejnych ekip rządzących – na misyjność oczywiście. Za szczyt pazerności i bandyctwa, trzeba uznać domaganie się przez tą instytucję

opłat abonamentowych, za wyjątkowo niski poziom usług. Ale szczytem głupoty i tupe-tu, jest organizowanie Dni Otwartej, aby domagać się pochwał i chwalić osiągnięciami. Lud to kupi... Tak uważają...

Czy w związku z tak niskim poziomem produktu, który otrzymuję nie muszę płacić abonamentu, który przechwytyje owa telewizja? Ano, nic podobnego. Ustawodawca nałożył na mnie obowiązek płacenia, grożąc wielkimi karami. A to czy oglądam debaty, okraszone nieprawdopodobnych lizusostwem prowadzących dziennikarzy, czy inną serialową szmirę, nikogo nie obchodzi. Cóż to za prawo? Prawo Kaduka! Rozumując w ten sposób ustawodawca może mi kazać płacić składkę na ONR, Młodzież Wszechpolską albo – nie daj Boże – PiS! Może mi też nakazać płacić za wódkę Pałacową, której nie kupuję! Absurd? Owszem. Otóż oświadczam uroczyście, że od dziś zaczynam stosować nieposłuszeństwo obywatelskie. Kasuję w swoim telewizorze programy: TVP 1, TVP 2, TVP Info i przestaję płacić abonament na telewizję publiczną. Kwotę abonamentu zaś zamierzam przelać na konto tej telewizji, którą oglądam.

Ktoś może oczywiście powiedzieć, że takie postępowanie jest nielegalne i niezgodne z prawem. Być może jest to niezgodne z prawem, ale czy telewizja publiczna nie łamie prawa? Zdaję sobie sprawę z tego i wiem, co może grozić za jego łamanie. Jestem człowiekiem dojrzałym i rozumnym. Jeśli przyjdzie mi zapłacić za takie działanie, to przypominam, że już Thoreau pisał w eseju „Obywatelskie nieposłuszeństwo”: *Niesprawiedliwe prawa istnieją; czy powinniśmy z zadowoleniem ich przestrzegać (...) czy też powinniśmy od razu odmówić ich respektowania?* Plotka głosi, że podczas jednodniowego pobytu w więzieniu, pisarza odwiedził znajomy, który zapytał: *Henry, co ty tutaj robisz? Na co Thoreau odpowiedział: Gdy rządzą niesprawiedliwi, miejsce każdego sprawiedliwego człowieka jest w więzieniu!*

Żądam więc szacunku dla widzów i dla siebie. Odkrywajcie przed nami nieznanne, a nie tylko liczcie ogromne pieniądze, jakie wpływają do waszych kas za reklamy i z abonamentu. Czy pragnę aż tak wiele?



Rys. Zbigniew „Bruno” Szulc

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (17)

(fragmenty)



O książkach Lema i rozmowach z tym profetą cywilizacyjnych wynalazków:

Nigdy, podczas długiego już czasu znajomości, nie mówił niczego, co byłoby określeniem siebie, zastanawianiem się nad poszczególnymi objawami siebie, nad swoją strasznością czy szansami (w ludzkim sensie), nad swoją nędzą, jaką każdy z nas, choć każdy innego rodzaju nosi w sobie, ani nad swoimi zwycięstwami, nad swoją dozą obłędu czy nad swoim rodzajem rozumu.

Zawsze rozmowy wybiegały zawrotnie dzięki jego intelektowi, a przy moim dość biernym udziale, w ogólności świata, bardzo daleko i wspaniale, tak daleko, aż nieraz zagubiony we wszechświecie nauki, sztuki, kultury, systemów filozoficznych etc. – patrzyłem na niego i zastanawiałem się, gdzie właściwie teraz jest on sam, Staszek, siedzący przede mną (...) mnie się wydaje, że on żyje w nie dość ścisłym kontakcie z samym sobą.

Muszę przyznać, że mnie też nie interesują dzieła, których autorzy podczas pisania nie kontaktują się ze sobą: to znaczy nie tylko z własną głową, ale i z własnym sercem, żołądkiem... słowem – z konkretnym życiem; takie pisanie pachnie mi zaraz abstrakcją, choćby było nie wiem jak genialne.

Cóż, jestem też z literackiej epoki kamienia łupanego; i nie szkodzi, niech tak już zostanie... Na swoją obronę przypominam sobie jednak, że przemyślenia Montaigne'a czy Gombrowicza nie były oderwane od ich krwiobieg i prywatnych doświadczeń, wynikały z nich jak konary z pnia, gałązki z konarów, paki, liście, owoce – z gałązek i słońca.

Korespondencyjne przemyślenia Mrożka, na dłuższą metę mogące nużyć jakimś rodzajem narcystycznej jałowości, to jednak szczyty filozoficznego rękodzieła. Mroźek w odróżnieniu od profesorskiego Błóńskiego, posługującego się erudycyjnymi gotowcami, przepuszcza świat przez swoje indywidualne filtry i to jest jego wartość. A

słowa cytowane poniżej wprost wyjął mi z ust: *Kocham tylko metafizykę i kobiety, choć co do drugiej połowy nic nie przeniknęło do tego, co piszę. Kobieta prawie nie ma w tym, co piszę, i jest to zasadnicza bariera, umniejszenie, w tym, co piszę, kolosalne oszustwo, prawie hipokryzja. A także »the last frontier«, wielki obszar dziewiczy.*

Dalej zastanawia się, dlaczego tak jest, zrzucając winę na fakt, iż jest dziedzicem i produktem kultury i języka (pewnie chodzi o pruderię katolicyzmu), który „źle się wyraża w tej sprawie, a kiedy próbuje, brzmi to tak fałszywie, bezradnie, adolescent, że lepiej już nic w tej sprawie nie mówić”.

Pewnie Mroźek trochę przesadza, bo jednak wiele zależy od jego indywidualnych cech (nie jest przecież z natury ani odrobinę pisarzem zmysłowym), niemniej ja, który bywam poetą zmysłowym, też rzadko ten temat poruszam, choć w moim życiu bywał bardzo ważny. To jakby sfera wstydliwa, piwniczna.

Może kiedyś jeszcze? Ale czy warto, skoro miałyby to zabrznieć fałszywie lub zgoła ekshibicjonistycznie?

Rozmyślenia o prawdzie faceta brodzącego po pas w smudze cienia

Mądre kłamstwo, które uratowało świat. Film „13 dni” unaocznia, jak niewiele brakowało może... do końca świata? Rzecz rozgrywa się w czasach zimnej wojny i konfliktu Nixon – Fidel Castro, gdy radzieckie pociski z bronią atomową były skierowane na Zachód, podobnie jak amerykańskie były wymierzone w Związek Sowiecki. Brakowało sekund; wystarczyło, by zapytany przez głównodowodzących akcją rzecznik amerykańskiego prezydenta nie zataił prawdy, iż amerykański samolot zwiadowczy został trafiony – przez przypadek zresztą – nad terytorium Kuby przez sowieckiego intruza samolotowego... Na szczęście dla świata rzecznik skłamał, w konsekwencji przycisku nie uruchomiono, a gotowe do akcji amerykańskie i radzieckie pociski nie zostały wypuszczone.

Okazuje się więc, że podział na „czystą prawdę” i „brudną nieprawdę” nie zawsze bywa zasadny; ba, niekiedy mądra nieprawda rodzi zdrowsze owoce od świętej prawdy, która może zabić. Zresztą całą prawdę o świecie, o nas, zna tylko może jeden Wielki Ktoś oglądający nasz Świat z wysokości Kosmosu. My znamy tylko jej fragmenty, najczęściej sprzeczne ze sobą; jesteśmy dziećmi we mgle, którym Bóg odśnania rąbki, drobinki prawdy.

Czy dziecku można powiedzieć całą prawdę i czy jest w stanie ją przyjąć? Nie! Korczak prowadził dzieci do gazu, ale mówił, że prowadzi je na wycieczkę. Dziecku, któremu zmarła mama, powiemy, że poszła „do nieba”, a nie na cmentarz.

Często w naszym codziennym życiu zatajamy prawdę z dobroci, żeby kogoś nie

zranić lub żeby bezkonfliktowo funkcjonować w społeczeństwie.

Przykład pierwszy z brzegu? Szeffowi nie mówimy, że go nie lubimy, podobnie jak przyjacielowi nie powiemy, że ma głupią i brzydką żonę, choć co raz przychodzi na to ochota; bąkamy za to podczas spotkania, że jest niegłupia i niebrzydka!

Każda prawda może mieć dwa końce, tak jest też z prawdą o umieraniu: dla jednego umieranie może oznaczać, że cały jego świat się kończy, dla drugiego... że się dopiero naprawdę zaczyna. Wszystko zależy od tego, w co kto wierzy lub nie wierzy. Książd Jan Twardowski mówił tuż przed śmiercią, że nie może się jej już doczekać, bo chce się dowiedzieć... co dalej.

Jeżeli taki elementarny fakt rodzi dwie różne odpowiedzi, to czy nie dotyczy to także większości ziemskich, a nie tylko metafizycznych kwestii? Gdy mówimy prawdę, to czasem jest tak, jakbyśmy stwierdzali tylko skutek, czyli opisywali czubek góry lodowej, ale gdzie są przyczyny, których nie jesteśmy w stanie opisać, bo w konsekwencji z owego opisu wyklarowałyby się może zupełnie inne oblicze prawdy? Często pod powierzchnią jednej prawdy (pozornej) kryje się głębsza i jakże sprzeczna z tamtą prawda prawdziwsza.

Bywa, że mówimy taką prawdę, jaką ktoś chce usłyszeć i odwrotnie – słyszymy tylko taką „prawdę”, którą chcemy usłyszeć, bo nie jest dla nas przykra. Czy to oznacza, że za wszelką cenę próbujemy podtrzymać złudzenia? A jeśli tak, to co w tym złego? Złudzenia są nam przecież bardzo potrzebne, bez złudzeń trudno byłoby wytrzymać na tym padole łez. A więc żyjemy dopóty, dopóki się łudzimy? Czasami nie można wetknąć szpilki między świętą prawdę a mądrą nieprawdę.

Prawda to wielopoziomowy labirynt pełen tajemnych skrytek, nisz, schowków, schodków, półcieni, piwnic etc.

Philip Levine tak pisze o prawdzie w wierszu przełożonym przez Adama Szypera („Prosta prawda”):

*(...) jak prawda, której nigdy
Nie wyraziłeś, bo zawsze był na to zły czas,
więc
Zostaje w nim niewypowiedziana do końca
twojego życia,
cała z brudu, który nazywamy ziemią,
Z metalu, który nazywamy solą w formie,
Dla której brakuje nam słów, a ty na niej żyjesz.*

Emily Dickinson każe odśniewać prawdę „stopniowo”:

*Mów całą Prawdę – lecz stopniowo
Ostrożnie i okrężnie –
Nie znieś błysku nagłej Prawdy
Nasz Zachwyt niedołyżny –
Jak Błyskawica – gdy się Dziecku
Naturę jej naświetli –*

*Tak prawda niech olśniewa z wolna,
Abyśmy nie oslepli –*

(przeł. Stanisław Barańczak)

cdn.

Siła wyobraźni poetyckiej

Tom wierszy tego wybitnego polskiego poety – **Józefa Barana**, na stałe związanego z Krakowem, składa się z sześciu części: „Wiosenne kukanie”, „Zapiski z podróży”, „Najkrótsza definicja człowieka”, „Každy o coś się modli”, „Śniadanie na tratwie” i „Ostrzeżenie dla samego siebie”. Całość otwiera wiersz bez tytułu stanowiący jakby inwokację do całej zawartości książki, w którym możemy przeczytać: *jakich cyrkowych sztuczek / dokazuje stale / na jakie / karkołomne sztuczki / stać ją nieodmiennie / by wciąż być w równowadze / choć cały czas pędzi / (...) // I jakie woltyżerki zwyczajność wyczynia / żeby się siodła i orbity trzymać // na tej szaleńczo / rozpedzonej karuzeli / która wśród gwiazd wiruje / w kosmosie przestrzeni.*

Nie trudno zauważyć, że autora ciągle inspiruje niekończąca się różnorodność naszej zwyczajności, ale i z drugiej strony popycha nas ku granicom ewoluującego Kosmosu, stanowiąc naszą ludzka w nim reprezentację. Los bowiem każdego człowieka jako cząstki Kosmosu w przekonaniu poety jest z nią i jej wyborami jakoś ściśle związany. Domaga się osobistej metafizyki uzasadniającej własne istnienie jednostkowe pomiędzy rzeczami tego naszego świata, co też Baran z uporem przez lata dyskursem wiersz czyni.

W „Wiosennym kukaniu” autor słyszy w głosie kukułki echa nieskończoności i wieczności człowieka, które rodzą miłość, rozkwitają jak kwiaty wiosną. Głos kukułki podrywa jego wyobraźnię do lotu, ale i rodzi nadzieję, że pomiędzy górami pachnącymi przyrodą i skąpanymi w promieniach słońca spotka okno, przez które ujrzy cienie wieczności. W wierszu – „Kolejny obrót lata wokół słońca” zadedykowanym żonie Zosi, napisany w rodzinnej wsi – Borzęcinie, pisze: *zabarwiam się obłokami / nasiąkam krajobrazami / zapachem lip i konwalii // rozwieram się na oścież / a wokół pogoda się święci / i wszystko co było złe / rozplywa się w niepamięci // (...) uczymy się żyć od motyli / chociaż żywot ich chwilowy / lecz każda chwila dla nich / nad łąką tańcem godowym // tyle już drogi za nami / przed nami dróg jeszcze tyle / serce jak kwoka na jajkach / wciąż wysiaduje nadzieję.*

W tej części autor podziwiał w lipcu szereg 1000 słończników, opisuje doświadczenie pobytu w szpitalu oglądając bez nadzieję ludzi chorych, których przy życiu trzyma jeszcze bezgraniczna miłość, analizuje swoje małżeństwo, macierzyństwo córki, ale i rozmowy ze swoją 97-letnią mamą. Publikuje tu dwa erotyki inspirowane doświadczeniem kołysania fal morskich oraz kocich ruchów kochających się ludzi. Taki świat jest dla poety „namacalnym cudem istnienia”, godnym niekończącego się podziwu i czuje, że (...) *zaciska w dłoni*

klucz poranka / do całego Wszechświata.

Ze wspomnień powstają także wiersze, w których szczęście, rodzina, samo życie, słońce i gwiazdy – to punkty, na których opiera się jego poezja. Również jesień i zima stają się źródłem odsyłającym Barana na łono tętniącej życiem przyrody, spoza której ukazuje się cmentarz przypominający mu o tym, że człowiek i to co żywe tylko istnieje w wiecznych nawrotach pór roku.

W drugiej części poeta dzieli się wierszowanymi impresjami z podróży po Brazylii, gdzie m.in. spotyka polskich emigrantów, Krecie, Turcji i Holandii. Chyba najbardziej autorowi w podróży po Brazylii doskwierał deszcz, bo w wierszu o takim tytule narzeka: *wszędzie gdzie ja / tam deszcz / w Brasilii i Kurytybie / w São Paulo i w Guarani / biegnie za mną / wiernie jak pies / na smyczy nieba / deszcz / deszcz / deszcz / zacierając / ślady mojej obecności / jakby chciał rzec / nigdy cię tu nie było, by konkludować z ironią w „Refleksji pobrazylijskiej”, że: *jednak Polska to / kraj w sam raz / na moja miarę // widocznie nie jestem człowiekiem / wielkiego formatu // 1.64 / w butach Tatr / w kapeluszu z Bałtyku.**

Na Krecie z kolei poeta pośród „wąsatych krzepkich Kreteńczyków” czuł się jak: *z motylem nad głową / zabłąkanym przez chwilę / jak on / pośród miliardów lat.*

Natomiast w Turcji obserwując zółwie” pędzone „Ślepą Miłością” usłyszał przestanie „Kosmosu, Natury i Nieznanego Autora Wszystkiego – identyczne dla zółwia, jak i dla mnie: „Istnieć, Istnieć, Istnieć... Przedłużać Istnienie”. Na zakończenie swych reminiscencji podróżniczych Baran podsłuchał „Ostatnią rozmowę van Gogha z wiatrem w Arles”, by się dowiedzieć, że *śmierć / to najlepszy / niebieski środek lokomocji / gdy chcemy jak najszybciej przenieść / się w Gwiazdy.*

Trzecia część tego tomiku ma charakter antropologiczny i poeta próbuje odpowiedzieć na pytanie: kim jest człowiek współczesny, z którym przychodzi mu obcować na co dzień? W wierszu – „Najkrótsza definicja człowieka” dowiadujemy się, że: *na górze / Jaśnie Oświecona głowa / pełna arystokratycznych manier / i nie z tej ziemi pomysłów // na dole / partyzantka / pięciu zmysłów // (...) w służbie kieratu / obracającego się / dokoła życia / dokoła życia / w niezdarnej pogoni / za globoidalną głową / której i tak / nie dogoni.*

Żaś w utworze „Najkrótsza definicja życia” czytamy, iż: *cały czas / mieć / zajęty czas // (...) byle do końca / nadziei / oczy / strużką światła / prześwitującą / przez szczelinę / w Drzwiach / Tajemnicy.*

Poeta z rezerwą traktuje miasto, które kojarzy mu się z ułem, natomiast mieszkania ludzi z plastrami, gdzie skrywają „słodkie i gorzkie sekrety” podglądani przez bezdomnego wędrowca z *Kosmiczną Samotnością / zarzuconą na plecy.* Obserwuje również na przystanku tramwajowym zakochaną parę meneli, którym uczucia zazdrości „pani w karakułach”. Niepokoi go „przewidywalny sąsiad z klatki”, ale i loty „politycznych ptaków”. Kpi z mechanizmu życia opartego na wyścigu szczurów za

pieniędzmi i laurami. Pisze pochwalny hymn na cześć sztuki dyrygenckiej prof. Tadeusza Strugały, i radzi jak żyć, by pozostać sobie trwałą ślad na zdarzeniach i ludziach.

„Každy o coś się modli” – to czwarta część książki krakowskiego poety, który w utworze pod tym samym tytułem pisze: *wszyscy się o coś modlimy / prostytutka o klientów / terroryści o szczęśliwy wybuch podłożonej bomby / stary pijak o wódczany wodopój / który skróci jego marny żywot // (...) każdy się o coś modli // grabarz o choroby o pomory / by dzięki temu mieć lepsze zbiory // bezradny Pan Bóg targa w zamyśleniu brodę / i / z braku lepszego rozwiązania / nadstawia modlącym / swoje Głuche Ucho.*

W tym modlitewnym kontekście poeta skupia się m.in. na śnie, marzeniach o wielkości człowieka, ale i poczuciu wolności, twierdząc, że podobno rodzimy się z wolnością, choć z jej poczuciem bywa różnie. Zależy to od poziomu rozwoju wyobraźni człowieka, gdyż nawet więźnia możemy sobie wyobrazić jako wolnego. Nie trudno również zauważyć w perspektywie tych wierszy, że modlitwy ludzi wynikające z karmienia są nadzieją – w oglądzie poety – niekoniecznie mają charakter wzniosły, pobudzający pogodę ducha ludzkiego.

Piąta część – to właściwie próba wizji „Śniadania na trawie”, którą poeta odbywa z perspektywy śmierci, czyli „bezczasu”, ale i wieczności, wyobrażając sobie możliwe wizje siebie, rodziny i przyjaciół, ale i znanego mu świata z perspektywy już pośmiertnej. Przypomina casus Janusza Korczaka, by jak jego dzieci iść na wycieczkę z *ornistrzem dziecięcej wiary / traktując śmierć jak powietrze // tak zbiec / na wieczne węgry.* Czuje z upływem kolejnych lat i doświadczeniem walki z chorobą, że zewsząd spoglądają na niego oczy nieżyjącej już matki i sądzi, iż *teraz już / ziemia / niebo / patrz na mnie / twoimi / mamą / oczami.*

Nawet na borzęcińskich pola widzi jak *ptactwo przed Nieba / Wielkim Ołtarzem* odprawia mszę świętą za spokój duszy ukochanej matki.

I wreszcie „Ostrzeżenie dla samego siebie” – ostatnia część tego tomu, w której poeta zastanawia się nad aktualną kondycją swojego istnienia, pisząc: *tracę poczucie humoru // oj to nie dobrze wróży / na stare lata.* Zdaje sobie bowiem sprawę z tego, że chwilowe istnienie w porządku doczesnym z perspektywy wieczności nie może być do końca traktowane na serio. Uświadamia sobie, że tak naprawdę nie ma nic do stracenia, nie powinien się martwić fasadami tego naszego życia, radościami i smutkami, nadętymi intelektualnie głupcami, ale powinien cieszyć się takim życiem, jakie faktycznie ma. Nie jest mu obcy duch Greka Zorby, uświadamia sobie, że jest egzystencjalnym maratończykiem, który pomimo wszystko miał dużo szczęścia. W wierszu tytułowym pisze więc poeta: *ciesz się Baranie / z tego co masz / nie wyczekuj stale / wielkiej wygranej za horyzontem // otwórz*

(Dokończenie na stronie 18)

Siła wyobraźni poetyckiej

(Dokończenie ze strony 17)

oczy na / małe codzienne / cuda na każdym kroku // szczęście / chodzi zwykle / w czapce niewidce / codzienności.

Zaprezentowany tom Józefa Barana mieści się w długoletnim dyskursie jego poezji, choć ubogacony doświadczeniami życia, poeta staje się bardziej ostrożny, wyrafinowany, momentami gorzko dowcipny, ironicznych, chcąc przekazać wielość obliczy prawdy naszego egzystowania w świecie, właśnie na własnym przykładzie. Rzecz jasna, prócz poezji, pisze również dzienniki, ale i felietony poetyckie, bo – jak często powtarza – „nigdy nie wiadomo czym przejdzie się do wieczności”, mając na uwadze rozterki swojego wybitnego krajana, jakim był Sławomir Mrożek. Warto czytać tego poetę, bo przecież na naszych oczach dołączył do rodzimego grona klasyków literatury.

prof. Ignacy S. Fiut

Józef Baran, „Szczęście w czapce niewidce i 99 nowych wierszy”. Fotografie: Jacek Grześkowiak i Zbigniew Pajewski Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2015, s. 158.

Przeklęci?

Pozostaję pod wrażeniem książki **Stanisława Stanika** *Żywy psychol – artystów o tęskniących duszach*. Autor zamieścił w niej refleksje o dziesięciu twórcach żyjących w różnych epokach. Twórców sławnych, których łączy ból duszy, a więc wrażliwych, reagujących uczuciowo na przejawy świata. Są to przybliżone sylwetki twórców udręczonych światem zewnętrznym, a przede wszystkim – sobą. Jest w tej książce mowa o twórcach szczególnie przeżywających ból istnienia. Taką książkę mógł być napisać ktoś o nie mniejszej wrażliwości i uczuciowości.

Książkę Stanisława Stanika otwiera postać Emanuela Swedenborga (1688-1772), a zamyka tragicznie zmarłego poetę, z którym byłem zaprzyjaźniony – Józefem Andrzejem Grochowiną (1954-2005). Wśród tych dziesięciu nieprzystosowanych do rzeczywistości szczególnie bliski jest mi właśnie Józef Grochowina, Cyprian Kamil Norwid (1821-1883). Rafał Wojaczek (1945-1971).

Zygmunta Trziszkę (1936-2000) poznałem, gdy szefował „Miesięcznikowi Literackiemu”. W tym poczytnym piśmie przyjmował mi do druku wiersze i prozę. Byliśmy w dobrych kontaktach, Szczerze żartowałam mnie jego przedwczesną śmierć.

O Norwidzie, mimo że jego wiersze są dla mnie zbyt mroczne i skompilowane w for-

mie, mógłbym długo rozprawiać. To żarliwy patriota i wielki myśliciel, utalentowany rysownik. Zwalczany ostro przez ówczesną magnaterię, która nie przyjmowała jego słusznej krytyki odnoszącej się do konformizmu, kosmopolityzmu rządzących Polską. Norwid powtarzał, że Ojczyzna to zbiorowy obowiązek. Jakże współcześnie brzmi myśl wielkiego Poety, który umarł we francuskim przytułku w zupełnym zapomnieniu.

Rafał Wojaczek, którego przywołuje na kartach swojej książki Stanik – to przykład osoby totalnie nieprzystosowanej do rzeczywistości. Był poetą wyjątkowo utalentowanym. Ale ten talent zatapiała w alkoholu. Chłonałem jego wiersze, które mógł tylko napisać ktoś przepełniony samodestrukcją. Jak pisze Stanik, w Klinice Psychiatrycznej Akademii Medycznej we Wrocławiu postawiono poecie diagnozę: osobowość pomniejszona, idąca w kierunku schizofrenii. Jest to nieporozumienie. Wybitni psychiatrzy i psycholodzy, by powołać Kazimierza Dąbrowskiego stwierdzają, że pozytywne nieprzystosowanie do świata jest zaletą, wyrazem twórczych przemyśleń i poszukiwaniem własnej drogi. Wszak liczba osób opowiadających się po stronie jakiejś teorii, czy sposobu życia nie jest wyrazem prawdziwości i słuszności. Dodam, że według Dąbrowskiego najbardziej wartościową grupą w społeczeństwie są psychonerwicowcy.

Jadwiga Hafner, redaktor naczelny pisma dla Polonii austriackiej „Jupiter”, w którym zamieszczam swoje miniatury i ludziki, dobrze znała Rafała Wojaczka, była z nim zaprzyjaźniona. W rozmowach z nią wylaniał się inny poeta, niż ten znany mi z mediów. Według Jadwigi – był to młody człowiek, nieśmiały, o nieprzeciętnej wrażliwości. Nieśmiałość i wrażliwość potęgowała przykre bodźce, i dlatego sięgał po alkohol. Życie codzienne przerosło go na tyle, że odszedł nagle z tego świata, popełniając samobójstwo.

Pisząc o Rafale Wojaczku widzę postać Józefa Grochowinę, którego poznałem dawno temu w Kielcach. Był pierwszym poważnym krytykiem moich, wtedy kalek, wierszy. Należał do Kieleckiego Klubu Literackiego. Zanim go poznałem debiutował tomikiem wierszy „Do końca bieg”. Józef był nieszczyśliwym fatalistą. Życie swoje odbierał w barwach mrocznych. Był tak intensywny w swojej mroczności, że zarażał mnie nią przy każdym naszym spotkaniu. Próbowałem mu pomóc psychicznie, ale to był daremny trud. Trud, który dla niego był banałem w rodzaju: uśmiechnij się, przecież nie jest tak źle. Niestety, Józef był niepokodzony ze sobą. Miał skłonności homoseksualne, których nie umiał w sobie zaakceptować. Być może odcisnęły się na nim stereotypy myślowe i obyczajowe wyniesione z biednej podkieleckiej wsi, gdzie się urodził. Uciekł do miasta, ale miasto nie dało mu oparcia. Nie mogąc już tego znieść – popełnił samobójstwo.

Właściwie część twórców, o których mowa w książce Stanisława Stanika można by zaliczyć do artystów przeklętych. Ale przez kogo, przez Los, Boga? W tej niezwykłej książce szczególną uwagę koncentruje postać Rationia, który żył bardzo podobnie

jak Wojaczek, czy Grochowina. Nigdy nie zapomnę pierwszego i ostatniego spotkania z tym poetą. A miało miejsce dawno temu w kawiarni literackiej ZLP w Warszawie, w Domu Literatury. Siedziałem przy stoliku ze Zbyszkim Jerzyną i piliśmy herbatę zaprawianą mocniejszym trunkiem. Nagle w drzwiach ujrzałem kogoś o zniszczonej twarzy i gorejących oczach.

– Kto to? – spytałem Zbyszka.

– To Ratoń – znany poeta.

Wstałem od stolika i szybko podszedłem do Rationia.

– I co się tak na mnie gapisz?! – spytał głosem przeżartym alkoholem.

– Chciałem panu pogratulować. Pisze pan znakomite wiersze – powiedziałam nieśmiało.

Jego twarz rozjaśniła się.

– E, tam, takie sobie wiersze. Ale i tak wszyscy spotkamy się w piekle – odparł i kulejąc opuścił kawiarnię ZLP.

Jan Stępień

Autobiografia Romana Polańskiego

Czyta się tę książkę z niesłabnącym na moment nawet zainteresowaniem. **Roman Polański** zaraz na wstępie wyznaje, że jak daleko sięga pamięcią to u niego granica między fantazją, a rzeczywistością była zawsze beznadziejnie zamazana. I ta niczym nigdy nieskrępowana wyobraźnia czyli fantazja pozwalała mu tworzyć filmowe arcydzieła. A jego samego uplasować wśród najlepszych twórców światowej kinematografii.

Polański urodził się w 1933 roku w Paryżu. Był synem Mojżesza Lieblinga malarza i producenta tworzyw. Ojciec Romana był Polakiem żydowskiego pochodzenia, a matka, pochodziła z Rosji. Gdy Roman był w wieku czterech lat, Lieblingowie podjęli decyzję o przeprowadzce do Krakowa, która miała ich uchronić przed narastającymi nastrojami antysemitkami we Francji. Zamieszkali w kamienicy przy ulicy Komorowskiego. Rodzina przyszłego reżysera musiała przeprowadzić się do krakowskiego getta. W 1941 roku ciężarna matka została aresztowana i wywieziona do Oświęcimia, gdzie zginęła komorze gazowej. Polański wraz z ojcem przebywali w tym czasie po aryjskiej stronie. Był świadkiem likwidacji getta w 1943 roku. Jego ojciec umożliwił chłopcu ucieczkę, a sam z innymi mieszkańcami getta przygotowywał się do powstania.

Został wywieziony do obozu w Mauthausen. Mały Polański przeżył dzięki pomocy Polaków. Początkowo ukrywał się u rodziny Wilków, a później przez dwa lata mieszkał w oddalonej o około trzydzieści kilometrów od Krakowa wsi Wysoka, w powiecie wadowickim, w chacie rodziny Buchałów.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej Polański powrócił do Krakowa. Chłopiec uczył się w szkole plastycznej i początkowo planował związać swą przyszłość z zawodowym kolarstwem, jeżdżąc, a także trenując na trasie Kraków-Zakopane. Później skierował swoje zainteresowania w stronę filmu. W 1954 roku złożył aplikację do łódzkiej filmówki. Andrzej Wajda powierzył Polańskiemu rolę Mundka w „Pokoleniu”.

Pierwszym filmem pełnometrażowym Polańskiego jest „Nóż w wodzie”, za który otrzymał nominację do Oscara. Był rok 1962. Tak zaczęła się błyskotliwa i zasłużona kariera (małego fizycznie) Polańskiego. Był młody i sławny. W 1968 roku ożenił się z amerykańską aktorką i modelką Sharon Tate. Wcześniej był żonaty z aktorką Barbarą Kwiatkowską.

8 sierpnia 1969 roku grupa osób związanych z sektą Charlesa Mansona włamała się do willi w Beverly Hills i okrutnie zamordowała Tate, będącą w ósmym miesiącu ciąży.

Po śmierci żony Polański przeżywał długi okres nerwowego załamania, a jego drogą ucieczki byłaś praca nad kolejnymi filmami. Przez wiele lat pozostawał samotny, nie był w stanie zaangażować się w związki i odrzucał zaloty aktorek z jego otoczenia, które próbowały jego kosztem zrobić karierę. To wówczas uciekał do towarzystwa nastolatek. W 1977 roku został aresztowany pod zarzutem gwałtu na trzynastoletniej modelce.

Śledząc meandry życia Romana Polańskiego, jego wloty i tragedie nie sposób zaprzeczyć, że wzbudza pozytywne uczucia.

Emil Biela

„Roman by Polański”, Wydawnictwo „Świat Książki”, Warszawa 2017, s. 518.

Barwny świat roгатki

Andrzej Grabowski (ur. 1947) to człowiek i pisarz, o którym można napisać kilkutomową sagę – tak o jego książkach, jak i o życiu oraz o niezliczonych a imponujących dokonaniach, zwłaszcza na polu krzewienia literatury w jej najrozmaitszych odmianach. Bo to nie tylko prozaik i poeta, autor książek dla dzieci i dorosłych, ale też twórca kabaretów, widowisk, audycji radiowych i telewizyjnych, niezależny publicysta, wydawca i redaktor literackiego magazynu „Iskra”, przez bodaj 3 lata prezes krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich, zaś od ponad 35 lat organizator wielkiej imprezy – Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej, także kawaler cenionego na świecie, przyznawanego przez dzieci – Orderu Uśmiechu.

To, że był laureatem wielu konkursów literackich, dla ludzi zainteresowanych jego twórczością pisarską jest po prostu truizmem. Bo Andrzej to także obieżyświat – łatwiej byłoby wymienić, gdzie jeszcze nie był. A niosło go i do Azji, i do Australii, i po Europie. Niektóre

jego książki, w tym tłumaczone na różne, nawet egzotyczne języki świata *Przygodę skrzata Wiercipiętka*, są czytane na obu półkulach globu, trafiły też do kanonu lektur szkolnych. Zatem to już klasyka.

Tu jednak chcę zwrócić uwagę na inny aspekt. Otóż od szeregu lat Andrzej pisze i wydaje kolejne książki, w których nie tyle z uporem maniaka, raczej zasługując na podziw i uznanie, wykorzystuje w twórczości tematykę „piotrzkowską”: wychowywał się i dorastał w Piotrkowie Trybunalskim, skąd już jako dorosły opuścił to miasto i osiedlił się na polskim Pogórzu. Ale choć tam rozwinął swe skrzydła twórcze, czas dzieciństwa i wczesnej młodości przeżyty w Piotrkowie i okolicach pozostał w nim niezatarty. Więcej – nabrał intensywności „raju utraconego”.

Efektom tego są wspomniane książki „piotrzkowskie”, w których wszystko dzieje się albo w tym mieście, albo w jego równie urokliwych okolicach (np. rzeka Pilica, Sulejów, Przyglów, Poniatów). Zaś w Piotrkowie szczególnie preferowanym przezeń miejscem akcji jest część obrzeża miasta – niegdyś zwana Wielką Wsią, czyli tzw. roгатka. To są domy, ulice, podwórka i, rzecz jasna, mieszkańcy roгатki. Ta część miasta, zwłaszcza w latach młodości Grabowskiego, musiała mieć specyficzny klimat życia i codzienności jej mieszkańców – ludzi zwyczajnych i szarych, a przecież na swój sposób ciekawych. Tyle że dopiero pod piórem Andrzeja Grabowskiego stają się oni charakterystyczni, barwni, pełnokrwisti, choć wcale nierzadko – nietypowi i cudacznici.

To jedna z refleksji, jakie się nasuwają podczas lektury tego typu książek (czyli „piotrzkowskich”), a ukazało się ich 8 (dwie następne w druku). Najnowsza z wydanych nosi tytuł *Małe łajdactwa*. W krótkim wstępie autor pisze, że są to opowiadania pisane dość dawno, niektóre były publikowane w prasie („Kultura”, „Akant”, „Merkuriusz”), nagradzane w konkursach (np. „Rubinowa Hortensja”). Ale – pisze dalej – powstawały one w czasach, gdy o internecie, smartfonach itp. „cudach” elektroniki nikt nie słyszał. Toteż „gdy nabrały innego kolorytu, z sentymentu do lat, w których rzeczywistość wokół nas była bardziej przewidywalna, a ludzie potrafili cieszyć się drobiazgami, postanowiłem podzielić się ich klimatem... Tego świata już nie ma, ale (...) powrotem do przeszłości uczą nas pokory i dystansu do coraz bardziej pazernej i bezwzględnej rzeczywistości”.

Ta książka to 14 tekstów prozą podzielonych na trzy części: *Opowiadki z roгатki*, *Hotelowa ballada*, *Opowiadania*. Trochę autor przesadził, tak szufladkując: wszystkie te prozy to po prostu opowiadania. Ale istotniejsza jest ich treść i sposób narracji. Nie ma tu sensu streszczanie wszystkich opowiadań, bo taki zabieg dałby skutek równie niedobry, jak streszczanie wierszy lirycznych, tj. odarłby tę prozę z jej smakowitości. Bo jednak – przypomnijmy za Janem Parandowskim, że „pisarz to styl”. A treść tych opowiadań Andrzeja, także innych jego książek, ma tę cechę, że one nie tylko dadzą się czytać, ale też urzekają charakterystycznym dla tego autora operowaniem polszczyzną.

Czytając tę książkę to wybuchamy śmie-

chem, to zdumiewamy się jednością dialogów i sytuacyjną charakterystyką postaci, to podziwiamy bystrość obserwacji szczegółów codzienności, to jakby niepostrzeżenie wpadamy w zadumę – nawet nad tymi bohaterami i zdarzeniami, które w pierwszym odbiorze jawią się nam jako dziwaczne, sowizdrzalskie.

Już same przezwiska konkretnych osób, najczęściej śmieszne, są wyrazem „domowej” (niewykszałconej), ale trafnej i adekwatnej do danej postaci charakterystyki określonych osób. Dla przykładu: Strzelipitok, Śmaja, Maniś Karuzelnik, Cyrkowiec... Mamy też określenia powstałe na zasadzie gry słów i podobieństw fonetycznych, jak np. Fata Mrugana, Podpiwko. Taki oto Józek, na którego wołają: „Bracie Holender”, ma zwyczaj częstego wtrącania do swej wypowiedzi tych właśnie słów. Zacytujmy: – Mamy szczęście, bracie holender, że to nie stoń, bo inaczej, bracie holender, to by nas pod tlen musieli wsadzić...

Tytułu książki nie powinno się rozumieć dosłownie. Te „małe łajdactwa” nie są nawet małymi łajdactwami. To raczej wyglupy, szalone wysoki znamionujące upust nadmiaru energii tych młodych, a czasem też metrykalnie dorosłych urwipolciów. Też, że bohaterowie opowiadań (płci obojga zresztą) nie są szkodliwi ani też nikogo nie krzywdzą, potwierdza choćby opowiadanie *Honor*, ukazujące szereg zaskakujących zdarzeń wynikłych z pojawienia się w scenerii roгатki „Amerykana” – przybysza już samym wyglądem innego niż tutejsi.

Ale gdy ów przybysz (który chciał mieć Polkę za żonę), o nazwisku John Berawsko, został „na mieście” solidnie ugoszczony bimbrem, ferajna z roгатki zataszczyła go na swoich plecach do hotelu, by tam spokojnie przyszedł do siebie. Nazajutrz pod roгатkę podjechała limuzyna, z której wysiadło dwóch obcokrajowców z wiązką kwiatów i torbą wypełnioną wiktualiami. Samochód zatrzymał się pod numerem 6, gdzie mieszkali Stępnio. Gospodyni, czyli ta Stępnio, kwiaty przyjęła, ale stulodarówki – nie. Inni też nie chcieli „zielonego”, więc wypakowano torbę i – balowano do rana.

Opowiadanie kończy się tak: „Niby drobna sprawa, lecz wagi ogromnej, w nieustannej dbałości o rzecz najświętszą – honor”.

Czy dziś, w dobie kultu pieniądza, to zdarzenie miałoby analogiczny finał? Chciałoby się westchnąć: gdzie się podział tamten honor prostych ludzi?... W przypadające właśnie 50-lecie twórczości Andrzeja Grabowskiego, gdy w piotrzkowskiej Bibliotece Miejskiej zrobiono – chyba w związku z jubileuszem 800-lecia miasta – wystawę „Piotrków w literaturze”, nie znalazło się na niej nic z twórczości tego pisarza, choćby któraś ze wspomnianych ośmiu książek o mieście młodości znanego nie tylko w Polsce twórcy. O tempora, o mores!...

Rafał Orlewski

Andrzej Grabowski, *Małe łajdactwa*. Redakcja: Andrzej Żmuda. Opracowanie plastyczne: Artur Grabowski. Foto okładki: Archiwum Magazynu ISKRA. Wydawnictwo AD OCULOS. Warszawa-Rzeszów 2016, s. 160.

Błyski



Który oślaniasz... O wierszach Tadeusza Zawadowskiego

Bogaty dorobek poetycki Tadeusza Zawadowskiego uzupełniony został w ostatnich miesiącach o ważną książkę zbierającą teksty z poprzednio wydanych tomów, które ukazywały się od roku 1987 do czasów ostatnich. Książka przypomina najcenniejsze teksty i jednocześnie pokazuje specyfikę poetyckiego spojrzenia na opisywany makro- i mikroświat. Poezja zdaje się być dla związanego ze Zduńską Wolą twórcy sposobem radzenia sobie z wielkimi dylematami egzystencjalnymi, a tworzenie wierszy jest jedyną drogą, która prowadzi do porządkowania interesujących go sfer. Skala mikro- i makro- została sugestywnie oddana już na okładce tomu poprzez zestawienie obrazu Salvadore Dali (zupełnie niekanoniczne ujęcie Chrystusa Ukrzyżowanego) z tytułem, który semantycznie nie nasuwa skojarzeń z tajemnicą Golgoty. To antynomiczne i z pozoru niekorespondujące ze sobą zestawienie jest zapowiedzią przesłania i kluczem do zrozumienia przedstawionej tu literackiej perspektywy.

Anna Dominiak

Wiersze wybrane z kolejnych książek dowodzą konsekwencji autora w budowaniu poetyckiej wizji, jego dociekliwości w poszukiwaniu sensów z dającym się wyczuć przesłaniem, że uzyskane odpowiedzi będą zawsze hipotezami. Zawadowski podejmuje dyskurs filozoficzny, przyglądając się z wielką uwagą swojej cielesności i duchowości, a w refleksji tej nieustannie konfrontuje perspektywę realistyczną z metafizyczną, w twardej namacalnym konkretności upatrując dotknięcia transcendencji.

Ciekawym aspektem jest tu niewątpliwie

odczucie czasu, jego wyraźna polaryzacja, podział na przeszłość i przyszłość:

*piszę ten list dzisiaj
czyli dwa lata temu
– mając nadzieję że dotrże
razem ze mną*

*piszę dzisiaj
na wypadek gdyby jutro był koniec świata
– chociaż nie czytałem takiego komunikatu*

Jak widać teraźniejszość wypełniona jest staraniem o to, by za pomocą języka odzyskać to, co minęło i dać nazwę temu, co ma nadejść. Bywa jednak, że przeszłość postrzegana jest jako przestrzeń, do której nie ma już powrotu (są w nas ukryte drzwi / do których coraz częściej / nie potrafimy / odnaleźć klucza). Przyszłość to jednoznacznie oczekiwany kres, nieuchronność, którą poeta próbuje oswoić językiem. Ta nieuchronność zdaje się być potwierdzona nieobecnością tych, z którymi poeta się pożegnał, przejawia się także przecuciem nieobecności własnej. Życie w ujęciu Zawadowskiego jest procesem odchodzenia. Niewątpliwie wpływ na to miało doświadczenie otarcia się o wieczność, które, jak można sądzić, otworzyło poecie niedostępną inną perspektywę. Stąd obsesyjnie przywoływany motyw śmierci, jakby poeta szukał najcenniejszej formuły do opisanego jej przeczuwanego fenomenu:

*nie pamiętam już ile razy
pieściłem ciało
rozpędzonych aut
lub w ostatniej chwili
uciekałem przed ich miłością*

Wiele z tekstów poświadcza wrażliwość autora na sztukę, jego otwartość na artystyczne wpływy, nie tylko literackie, ale także malarskie. Możemy tu odnaleźć bardzo udane próby ekfraz czy literackich interpretacji kanonicznych dzieł malarskich, z którymi autor zetknął się w swoich bliższych i dalszych podróżach (Goya, Friedrich, da Vinci). Ale też pojawia się tu sporo nazwisk przyjaciół, ludzi, z których ścieżkami przecięły się ścieżki autora. Takich wierszy zapisujących ważne dla poety spotkania jest w tomie bardzo wiele.

Zawadowski przedmiotem wnikliwej obserwacji czyni też proces twórczy, rozważa naturę tekstu, analizuje proces konstytuowania się wiersza. Ten metapoetycki aspekt obecny jest w różnych okresach życia poety.

Charakterystyczne dla natur twórczych przesłanie o opozycji ja – oni znajduje również odzwierciedlenie w samoświadomości bohatera lirycznego. Dojmująco odczuwana inność prowadzi do potrzeby alienacji od tych, którzy próbują naruszyć integralność jednostki naznaczonej jakimś rodzajem szaleństwa:

*myślałem o samobójstwie
ale pewnie i wtedy będą przy mnie
nie pozwolą uciec
może więc celowo wpadać w ich sidła
aż przestaną cieszyć się nagonką*

Ważnym źródłem inspiracji i mocnym

fundamentem aksjologicznym, na którym zbudowany jest świat Zawadowskiego jest Biblia. Odwołuje się do niej poprzez motywy, które nierzadko podlegają tu reinterpretacji czy ulirycznieniu ("Witraz"), ale też poprzez zastosowanie formuł językowych, w których pobrzmiewają echa stylu biblijnego. Perspektywa chrześcijańska uwidacznia się też w emocjonalności, w której wyraźnie zaznacza się pokora wynikająca z przesłania o własnej znikomości, co symbolicznie ujęte zostało w tytułowym motywie mrówki. Antynomią wobec konotowanych przez nią znaczeń są sensy poruszone w kluczowych dla przesłania tomu wierszach dotyczących motywu ukrzyżowania.

Poezja Zawadowskiego jest też mocno nasączona wpływami historii, która szczególnie urealnia się w tekstach opisujących skutki tragedii Wołynia, stanowiącej bolesną i niezbywalną kartę w rodzinnych dziejach.

Tak obszerny zbiór stanowiący wybór z kilkunastu książek z natury rzeczy musi zawierać całą gamę kręgów tematycznych i można zaobserwować, jakby kolejne rozdziały ciążyły ku określonym problemom. Obok kwestii dotyczących zmagania z Bogiem, ciałem, materią, historią, mocno obecnym motywem jest tu kobieta, której istota przejawia się w tej poezji w różnych odsłonach: od starotestamentowej pramatki po Ewę współczesną, w której wizerunku można odnaleźć najbliższą poecie kobietę. Ale są też Berenika, Anna, Elizabeth, Mona Lisa. Kobieta to adresatka czułości, patronka gniazda, piękno i eteryczność. Napotkana przypadkiem lub poszukiwana, naznaczona tajemnicą nosicielka zagadkowych znaczeń.

Poezja ta, mocno zakorzeniona w tradycji liryki, realizuje jej tradycyjne funkcje, stawiając pytania, mnożąc wątpliwości i zdziwienia. Stąd tak wyraźna jest tu obecność symboli, toposów, motywów o wielorakiej semantyce: gniazdo, ptak, mrówka, podróż, drzewo, ogród. Kilkakrotnie w swoich wierszach Tadeusz Zawadowski powraca do motywu arkadyjskiego, łącząc w nim pierwiastek kosmogoniczny z eschatologicznym (wiersze o starzejącym się Bogu, powrocie Adama i Ewy).

Poeta wykorzystuje rozmaity typ frazy, od bardzo tradycyjnej, zdającej się niekiedy nawiązywać do języka XIX wiecznego po taką, w której odkrywcy skrót semantyczny nadaje wierszom pełną napięcia kondensację myśli i emocji.

Najnowszy wybór wierszy Tadeusza Zawadowskiego to zapis indywidualnych lęków, świadectwo wewnętrznego rozdarcia i zagubienia człowieka pomiędzy dojmującą i często ograniczającą rzeczywistością a wyraźnie przeczuwaną wiecznością. To zapis zachwyty i rozpacz, synteza ludzkiego doświadczenia Boga i refleksja o własnym miejscu w świecie, a jednocześnie nigdy *niedokończony temat*.

Tadeusz Zawadowski, *Mrówka*. Redaktor i Posłowie: Dariusz Tomasz Lebioda. Zdjęcie autora: Ewa Zawadowska. Obraz na okładce: Salvador Dali, Chrystus św. Jana od Krzyża. Biblioteka „Tematu”, nr 126, Bydgoszcz 2017, s. 210.

Filozofia codziennosci (129)



Określany jest mianem „filozofia i teoria prawa”. W konsekwencji przyszli sędziowie, adwokaci, prokuratorzy, są pozbawiani wiedzy filozoficzno-prawnej, która mogłaby korzystnie wpływać na ich działalność. A pełnią wszak doniosłą rolę w społeczeństwie. Ponoszą odpowiedzialność za losy innych ludzi. Wiedza ograniczona do zmieniających się przepisów prawnych nie jest podbudowana ani wykładami z zakresu psychologii, ani wykładami z zakresu filozofii.

Teorie prawa natury zaznaczyły swój wpływ na życie społeczeństw. Wystarczy powołać jako przykład wielką rewolucję francuską 1789 roku, czy proces w Norymberdze. Świadomość istnienia prawa natury wzmacnia się, gdy obowiązujące ustawy ocenia się jako niesprawiedliwe lub gdy negatywnie ocenia się działalność państwa odbiegającą od ustaw ocenianych jako słuszne. Można więc powiedzieć, że prawo natury istnieje w świadomości jednostek szczególnie wyraźnie w okresach konfliktów i przełomów. Prawo natury jest wcześniejsze od prawa pozytywnego i od państwa oraz niezależne od ustaleń prawodawców.

Utrwalona jest w literaturze naukowej klasyfikacja teorii tego prawa stosownie do epok w których było ono tworzone. Ale w tej samej epoce, by wymienić współczesność, formułowane bywają rozmaite teorie prawa natury. Uważam, że należy przeprowadzić klasyfikację tych teorii z punktu widzenia wskazywanego przez nie źródła prawa natury. Przyjmowane są następujące: istota człowieka, Bóg, rozum, godność człowieka.

Można także klasyfikować teorie prawa natury z punktu widzenia oceny jego zmienności. Otóż od starożytności do 1996 roku twórcy tych teorii zgodnie twierdzili, że prawo to ma niezmienną treść. Pogląd o **zmienności** treści prawa natury wyrazili niezależnie od siebie: Leon Petrażycki, wykładający wówczas w Rosji, oraz Niemiec Rudolf Stammler. **Rozwijającą się** treść prawa natury przyjęli w swoich teoriach niektórzy filozofowie prawa w latach czterdziestych ubiegłego wieku. Sformułowali oni tzw. dynamiczną teorię prawa natury.

Można też klasyfikować teorie na temat prawa ponadustawowego, biorąc pod uwagę czy przypisuje się temu prawu charakter powszechny – czy też ogranicza jego oddziaływanie do granic określonego państwa.

Wreszcie, możliwa jest klasyfikacja omawianych teorii z punktu widzenia podstawowej zasady tego prawa. W Polsce pod wpływem oficjalnej nauki kościoła rzymskokatolickiego przyjmuje się bezdyskusyjnie, że podstawowa zasada prawa natury brzmi: dobro należy czynić, zła należy unikać. Grocjusz w XVI wieku pod wpływem wojen religijnych w Europie, inaczej sformułował podstawową zasadę tego prawa: umów należy przestrzegać, przestępców karać, krzywdy należy wynagradzać. Tak pojmując fundamentalny nakaz prawnonaturalny unika się nierozstrzygalnej debaty na temat czym jest dobro.

Można także klasyfikować teorie prawa natury na takie, które odwołują się do określonej moralności, bo uniwersalnej nie ma – oraz na immoralne, czyli przyjmujące, iż zagadnienia prawnonaturalne leżą poza zakresem ocen dobra i zła.

Teorie prawa natury o zmiennej treści wywołały głęboki przewrót w sposobie pojmowania tego prawa i współcześnie bywają rozwijane. W Polsce są przemilczane mimo ich rozkwitu w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Impulsem dla ich powstania stała się filozofia Kanta. Dokonał on rozdzielenia sfery, która jest oraz sfery tego, co być powinno. Teorie prawa natury inspirowane przez filozofię Kanta – a sformułowane przez neokantystów – traktują prawo natury jako twór kulturowy w przeciwieństwie do tradycyjnych teorii prawa natury wskazujących, iż ich źródłem jest istota człowieka. Prawo natury o zmiennej treści jest tworem rozumu człowieka żyjącego w określonej epoce. Nie ma związku z istotą człowieka. Jest ono rezultatem świadomej intelektualnej twórczości człowieka. Tworzy się w rezultacie krytycznej oceny prawa stanowionego. Zarysowuje treść ustaw, które już dziś – zdaniem współcześnie żyjących – powinny obowiązywać jako prawo, by sprostać oczekiwaniom społeczeństwa.

Teorie prawa natury przynoszą uzasadnienie dla poglądu, że człowiek nie jest zniewolony bez reszty przez państwo i społeczeństwo.

Teorie prawa natury, o czym była mowa, niezależnie od tego czy przypisuje mu się **zmienną, czy rozwijającą się, czy niezmienną** treść, wskazują, że należy przekraczać wymiar codziennego doświadczenia. Teorie głoszące, że prawo to ma niezmienną treść, zarazem głoszą, że rozum człowieka poznaje prawo natury, a ma ono źródło bądź w istocie człowieka, bądź w prawie wiecznym (lexaeterna), czyli w Bogu. Natomiast w myśl teorii prawa natury o zmiennej treści – rozum tworzy to prawo poprzez krytykę prawa obowiązującego. Oczywiście tworząc, zarazem to prawo poznaje.

Krytyka teorii prawa natury w Polsce w latach 1950-1989 dotyczyła tradycyjnej, to znaczy arystotelesowsko-tomistycznej teorii tego prawa. W rezultacie narosło w Polsce utrwalone do dziś nieporozumienie. Mianowicie, w szerokich kręgach funkcjonuje pogląd o nierozzerwalnym związku teorii prawa natury z wartościami religijnymi. Nie ma on przeciwwagi dostatecznie silnej u nas w postaci innych stanowisk prawnonatural-

nych. Moje stanowisko prawnonaturalne wyrażone w książkach z zakresu filozofii prawa jest mało znane.

Nazwa prawa natury jest myląca, bowiem mianem natura określa się także świat przyrody. Trzeba więc wyraźnie podkreślić, że prawom przyrody człowiek podlega na równi z roślinami, zwierzętami i przyrodą nieożywioną. Nasza odrębność od innych istot żywych sprawia, że właściwe jest nam prawo natury, które nie dotyczy nikogo poza człowiekiem. Prawo natury jest we wszystkich teoriach interpretowane jako prawo doskonalsze niż prawo pozytywne, inaczej stanowione.

Była już mowa o tym, że od wieków funkcjonują poglądy prawnonaturalne oraz poglądy przeczące istnieniu tego prawa. Zdarza się, że stanowisko prawnonaturalne bywa w pewnych okresach dominujące. Pierwsze odrodzenie teorii prawa natury wiązać należy z przełomem XIX i XX wieku w okresie, gdy powstały teorie prawa natury o zmiennej treści. Drugie odrodzenie teorii prawa natury rozpoczęło się w latach czterdziestych ubiegłego wieku, czyli jeszcze w czasie trwania II wojny światowej. Po jej zakończeniu nastąpiło jeszcze większe ożywienie dyskusji na temat tego prawa, które oddziało również w wymiarze praktycznym na Europę. Proces norymberski poruszył bowiem świadomością Europejczyków.

Prawo natury pojmowane tradycyjnie, od starożytności do dzisiejszego dnia, traktowane jest jako norma moralna nakazująca czynić dobro i unikać zła. Ujmowane jest jako prawo niezienne, obowiązujące powszechnie, mające źródło w istocie człowieka, bądź w Bogu. W razie konfliktu obu praw wskazuje się konieczność przeprowadzenia zmian w przepisach prawa pozytywnego. Tak pojmują to prawo filozofowie chrześcijańscy oraz większość polityków w Polsce.

Teorie prawa natury o zmiennej treści nie ujmują tego prawa jako normy postępowania lecz jako ideał, wyraz doskonałej sprawiedliwości. W myśl tych teorii, prawo to ma zmienną treść, ale niezmienną formę, którą jest powinność. Nie odznacza się ono powszechnym zasięgiem lecz obowiązuje w granicach określonego systemu prawa pozytywnego. Bywają teorie prawa natury o zmiennej treści, by wymienić stanowisko Radbrucha, które utożsamiają je z tymi przepisami prawa pozytywnego, które urzeczywistniają sprawiedliwość. Źródłem tak pojętego prawa natury nie jest ani natura człowieka, ani Bóg, lecz rozum człowieka żyjącego w określonych warunkach historycznych, społecznych, gospodarczych, kulturowych. Jest więc to prawo dziełem kulturowym, stworzonym na miarę poglądów człowieka o ideałach wolności i sprawiedliwości. Związani są nim nie wszyscy obywatele – skoro nie wypływa ono z istoty człowieka – lecz ci, którzy mają wpływ na stanowienie prawa w państwie.

t
Maria Sajszkowska

Andrzej Bartyński

Rozmowy na globie - człowieka o sobie



Piękne damy

– W salonie mych myśli przy okrągłym stole siedzą trzy alkohole: Pani Soplca, Pani Whisky i Pani Wodka. Trzy piękne damy. Może je w końcu poznamy. Wszystko zależy od naszych uczuć żołnierzy, jeśli je kiedyś zaproszą na bal, żeby zatańczyć życia żal, żeby zatańczyć radość życia. Trzy piękne damy do wypicia – powiedział filozof Pan Nietwór wchodząc do salonu mych myśli z parasolem w ręku.

– Pada deszcz, wieje wiatr, bije grad, wałą gromy. Jaki to piękny świat, że w salonie mych myśli spokój widomy – powiedziawszy to filozof Pan Nietwór oddał swój parasol w ręce Daniela Spaniela i klasnął w swoje dłonie na znak zadowolenia.

– Jak już pada, to niech sobie pada. Inaczej mówić mi nie wypada. Przecież nasz świat ciągle się zmienia od chwili swego istnienia, więc mu pozwólmy na kroplę pragnienia nie odbierając mu racji w imię demokracji. Tak jak to czynią mądrzy posłowie w deszczu i w słońcu, cyk, cyk po połowie. No to na zdrowie Polscy Panowie, niech nikt się nie dowie, cyk, cyk po połowie – powiedziawszy to w sposób dyplomatyczny, jak poseł usiadł przy okrągłym stole. Kto? Filozof Pan Nietwór.

– Mój kochanek kurdybanek dziś poprosił mnie o dzbanek i się wlał do niego sam. Taką z nim uciechę mam. Żeby żyć trzeba pić. Oto życia złota nić, która szyje złote zdanka przy nalewce z kurdybanka. W górę serca! W górę szklanka! Za kochankę i kochanka. Kto to mówi do pioruna? Wszyscy wiedzą, to ja, Luna.

Jak z procy wystrzeliła szmaragdowym altem piwnooka jak heban czarnowłosa Luna i z bombowcem uśmiechu wtarabaniła się do salonu mych myśli.

– Wszyscy biją w tarabany, filozofie mój kochany – powiedziawszy to usiadła naprzeciwko niego przy okrągłym stole.

– Ja sobie pozwolę – powiedział filozof Pan Nietwór – ja sobie pozwolę wyrazić zgodę na wszystko w imię demokracji, żeby nie było żadnych perturbacji. Jestem zwolennikiem autokreacji.

– Nie ma Pan racji – odezwał się głos zza pieca w salonie mych myśli. Nie ma pan racji, nie ma pan racji. Wszystko wymaga zawsze konsultacji.

– Co masz na myśli mówiąc wszystko? – zapytała okienna framuga w salonie mych myśli.

– Wszystko to znaczy nic – wtrącił swe zdanie złoty kandelabr nad okrągłym stołem i uśmiechnął się bez konsultacji.

Głos zabiera Daniel Spaniel: – W tym temacie, zdania lekarzy są podzielone. Jedni mówią tak, a drudzy mówią siak. Jednego jak widać zdania jest brak. Nie mają jednego zdania, lekarze dla uzdrawiania.

– Danielu Spanielu! Czy tak czy siak, ja widzę jasny szlak, a tym jasnym szlakiem, poza koniakiem jest whisky, soplca i wodka, od których abstynent woli wierszółotka. Pytasz mnie, co to jest wierszółotek? Wierszółotek – słów podlotek, który w ręce trzyma młotek i pędzluje nas po uszach, żeby lepsza była dusza. A my abstynenci za karę też coś pijemy, ale w miarę – roześmianym głosem przypędzłowała w uszy, nas siedzących przy okrągłym stole błękitnooka i złotowłosa Wiosna.

– Czy tak, czy siak. Oj dana, dana! Wypijmy z Autorem szampana.

– Za kochankę i kochanka, cyk nalewkę z kurdybanka.

– Cyk, cyk po połowie. Niech się społeczeństwo dowie.

– Cyk, cyk, cyk. Tak czy siak, kto nam prawdę powie jak – pyta wołając okienna framuga. I tak się kończy dzisiaj damska fuga. Bardzo miło było nam w towarzystwie pięknych dam.

PS. Dyptyk tęsknoty

I Czekam

*Przez całe życie czekam na ciebie
przez dzień i noc, przez plac i most
przez sierp i młot, przez próg i płot
czekam na ciebie szalem na bal
przez siną dal, przez sól i stal
przez śmiechu żal
czekam na ciebie w codziennym chlebie
czekam na ciebie przez całe życie
jak puchar wina na wypicie
w górę serca, w górę serca
na ciebie czekam na słów kobiercach
na całej ziemi, na całym niebie
przez całe życie czekam na ciebie*

II Idę

*Idę pod rękę z tobą przez świat
i się potykam o swoją niezręczność
ludzie to widzą i słyszą jak mówią
patrzcie! on nie widzi świata
on też nas nie widzi
i się uśmiecha prosto przed siebie
Zakonnica przechodzi przejściem dla pieszych
aptekarz w aptecce sprzedaje lekarstwa
na parapecie okna siedzi kot
kupimy sobie w kiosku jogurt
żeby się napić po spacerze*

Jerzy Stasiewicz

Madonny kresowe

Wędruję śladem Madonn kresowych
po miasteczkach, wsiach, przysiółkach,
kościółkach opuszczonych
wędrowką ludów za chlebem

Madonna Łopatynska z Wójcic
rozdrapuje kamienie
chwyta w dłonie wiatr daleki

Łzy ociera rękawem mieszkańców
co tu przybyli, a dawno odeszli
na zielone łąki po kwiaty na ołtarz
gdzie mlecz był żółty jak płomień nieba

Madonny kresowe
wysłuchują modlitw przygnanych w niezna-
ne
i wypędzonych z gniazda
łagodzą ból

Węzłem ślubnym łączą znieawidzonych
a owoc ich miłości błogosławią na wieki

Kazimierz Linda

Odleciały anioły

odleciały za rozpędzonymi
wskazówkami zegarów
uszczyknęły to tu to tam
z mojego życiorysu
pozostały gorycz
przemijania
trochę imitacji srebra
nad twarzą

nikt nie chce zdradzić
dlaczego w nieznanne
odleciały anioły

zapomniany

niepotrzebny jak rupieć
odstawiony do lamusa
wspomnień
próbuję kluczyć
pośród niespełniania marzeń

obolałe zapomnieniem
myśli
co krok trafiają
na kamień raniący
do zakrzepłej bólem
niepamięci

POEZJA

Sławomir Matusz, *Te kości których nie połamali*. Projekt okładki: Sławomir Matusz. Przekład wierszy na plakacie na język ukraiński: Julia Poczynok. Sosnowiec 2016, s. 66 + plakat.

Jan Michalski, *Anatomia fałszerstwa*. Projekt jm. Galeria Zderzak, Kraków 2016, s. 74.

Agnieszka Nowińska, Juliusz Wątroba, *Bliskość oddaleń / Closeness of distances*. Przełożyła: Renata Cygan. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Agnieszka Nowińska. Towarzystwo Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia, Bielsko-Biała 2016. Strony nienumerowane.

Antoni Pawlak, *Walizka światła*. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Sitko. Fotografia autora na okładce: Krzysztof Mystkowski. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 134. Instytut Mikołowski, Mikołów 2016, s. 44.

Henryk Pawlak, *Limeryki i inne wybryki*. Okładka: Grzegorz Ożga. Oficyna Wydawniczo-Reklamowa Sagalara, Łódź 2016, s. 64.

Bogumiła Salmonowicz, *Abraże*. Projekt okładki: Sylwester Mazurek. Zdjęcia na okładce: Irena Bykowska i Anna Ewa Klimowicz. Zdjęcia Wiesław Leszczyński. Stowarzyszenie „Alternatywni”, Elbląg 2016, s. 70.

Marcin Sas, *Bajka na godziny*. Na okładce wykorzystano zdjęcia Olgi Raciborskiej i Agnieszki Małgorzaty Rybak. Projekt okładki: Olga Raciborska, Julian Zurko. Seria *Poetycka*, tom 110. Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego, Łódź 2016, s. 46.

Marcin Sas, *Zaspiewy rynkowe*. Projekt graficzny: Piotr Kłosowicz. Stowarzyszenie Kulturalno-Artystyczne „Rita Baum” Wrocław 2016, s. 56.

Kamil Sipowicz, *Platyna*. Wybór: Jan Tulik. Opracowanie graficzne: Sylwia Tulik. Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2016, s. 154.

Szymon Słomczyński, *Latakia*. Projekt okładki: Jusyna Boguś / Mile Widziane. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 146. Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2016, s. 56.

Krzysztof Szewczyk, *Homo Ferus*. Grafiki: Krzysztof Szewczyk. Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2016, s. 116.

Gabriel Andrzej Szumilas, *Łzy jak ścięte kwiaty dla Boga*. Autor okładki: Łukasz Danielewski. ARGRA, Warszawa 2016, s. 56.

PROZA

Joanna Bator, *Rok królika*. Projekt okładki: Monika Klimowska. Fotografia na okładce: Elisa Lazo de Valdez / Trevillion Images. Opracowanie typograficzne: Daniel Malak.

Wydawnictwo Znak, Kraków 2016, s. 414.

Justyna Bargielska, *Siedem pierwszych przygód Rozalii Grozy*. Zilustrowała: Patrycja Ochman. Projekt okładki: Patrycja Ochman, Wojtek Świerdzewski. Seria *Proza*, tom 45. Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2016, s. 80.

Dariusz Bitner, *Wciąż jesień*. Projekt okładki: Michał Biernacki. Print Group, Szczecin 2016, s. 300.

Kinga Bochenek, *Dzieci Gomory*. Projekt graficzny okładki i stron tytułowych Marta Górka. Ilustracja na okładce: Izabela Kossak *Sodoma i Gomora*, ilustracja do Biblii, linoryt. Zdjęcie autorki: Artur Łoziński. Oficyna Wydawnicza Volumen, 2016, s. 282.

Kazimierz Brakoniecki, *Zakład biograficzny Olsztyn*. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Adam Kurlowicz. Na okładce wykorzystano fotografię Olsztyna z ok. 1964 roku Jerzego Walugi. *Biblioteka Borussii*, tom 55. Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia”, Olsztyn 2016, s. 404.

William Dalrymple, *Ze świętej góry*. Przełożył: Krzysztof Obłucki. Mapy i ilustracje w tekście: Olivia Fraser. Projekt okładki: Witold Siemaszkiewicz. Noir sur Blanc, Warszawa 2017, s. 608.

Silverster Lavrik, *Zu*. Przełożył: Jacek Bierut. Opracowanie graficzne: Artur Skowroński. Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2016, s. 336.

Dušan Savić, *Porajmos*. Przełożyła: Agnieszka Żuchowska-Arendt. Projekt okładki: Tomasz Fronckiewicz. Seria *Faktoria Prozy*, tom 3. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2016, s. 160.

Anna Waligórska, Miłosz Waligórski, *Mate prozy*. Projekt i opracowanie graficzne: Edyta Majewska. Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku, Gdańsk 2016, s. 104.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Umberto Eco, *Jak podróżować z łosiem*. Przełożył: Krzysztof Żaboklicki. Projekt okładki: Tomasz Lecz wykorzystaniem fotografii stellarooi. Noir sur Blanc, Warszawa 2017, s. 208.

Jerzy J. Fąfara, *Był wśród nas Święty*. Opracowanie graficzne: Sylwia Tulik. Fotografie: Jerzy J. Fąfara, archiwum Stanisława Szpunara, Aleksander Baranowski. Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2016, s. 198+ fotografie.

Aleksander Fiut, *Po kropce*. Projekt okładki i projekt typograficzny: Wojtek Kwiecień-Janikowski. Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków 2016, s. 352.

Brygida Helbig, *Inna od siebie*. Projekt okład-

ki i stron tytułowych: Tomasz Majewski. Fotografie na I stronie okładki: George Marks / Retrofile / Getty Images, William Andrew Photographers Choice RF / Getty Images. Fotografia autorki na IV stronie okładki: Emanuela Danielewicz. Kolaże: Barbara Masie. Seria *Archipelagi*. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2016, s. 464.

Beata Patrycja Klary, *Rozmowy z piórami (cześć trzecia)*. Projekt okładki, fotografia na okładce i stronie tytułowej: Beata Patrycja Klary. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2016, s. 202, w tym fotografie.

Stefan Mękarski, *Lwów. Karta dziejów Polski*. Posłowie: Janusz A. Pierzchała. Projekt okładki według projektu Tadeusza Terleckiego do III wydania, 1982. Koło Lwowian, Londyn 2016, s. 242, wydanie IV.

Jean-Claude Milner, *Dzieło jasne. Lacan, nauka, filozofia*. Przełożył i wstępem opatrzył: Michał Gusin. Biblioteka kwartalnika KRONOS, Fundacja Augusta hr. Cieszkowskiego Warszawa 2017.

Jerzy Pluta, *Przecinek*. Okładka: Jacek Kotowicz na podstawie okładek wydawnictwa „Przecinek”. Layout i opracowanie graficzne: Jacek Kotowicz. Fotografie i elementy graficzne z archiwum autora. Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu, Instytucja Kultury Samorządu Województwa Dolnośląskiego, Wrocław 2016. Strony nienumerowane.

Andrzej Tyszka, *Aksjologia społeczna. Między PRL a IVRP*. Projekt graficzny serii: Jerzy Grzegorkiewicz. Projekt okładki i stron tytułowych: Dorota Kucharczyk. Seria *Czarna*. Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2016, s. 380.

DRAMAT

Max Frisch, *Dramaty zebrane*. Tom I. Redakcja i wstęp: Maciej Ganczar. Przełożyli: Maciej Ganczar, Ryszard Turczyn, Sława Lisiecka, Irena Dębek, Wiesława Czyżyńska, Andżelika Metelska, Karolina Piasecka, Anna Wojnarowska-Olek, Jacek Kaduczak. Projekt okładki: Aleksandra Ziemiańska. Agencja Dramatu i Teatru, Warszawa 2017, s. 430.

Max Frisch, *Dramaty zebrane*. Tom II. Redakcja: Maciej Ganczar. Posłowie: Monika Wąsik. Przełożyli: Maciej Ganczar, Ryszard Turczyn, Sława Lisiecka, Karolina Bikont, Jacek Kaduczak. Projekt okładki: Aleksandra Ziemiańska. Agencja Dramatu i Teatru, Warszawa 2017, s. 448.

Bolesław Leśmian, *Skrzypek opętany*. Odczytanie z rękopisu, opracowanie i posłowie: Dariusz Pachocki. Projekt okładki i stron tytułowych: Dorota Niedziałkowska. Seria *Archiwum Edytorskie*, tom 6. Wydawnictwo KUL, Lublin 2016, s. 270.



Gratulacje dla Nguyena Chi Thuata

Wzruszyłam się pochylona nad książką, którą trzymałam w dłoniach, w tłumaczeniu na język dość egzotyczny dla Polaków – wietnamski. „Lalka” Bolesława Prusa, to znacząca pozycja w historii naszej literatury.

Sala wietnamskiej restauracji w warszawskich Alejach Jerozolimskich stała się 25 marca br. miejscem obecności nietuzinkowych osób na uroczystym spotkaniu dla uhonorowania gościa, który przybył z Poznania. Wieczór był pełen magii za sprawą poezji oraz ciekawej oprawy wokalnno-muzycznej. Wiersze czytał sam Autor oraz osoby przez niego zaproszone. Czułam się wyróżniona. Powiedziałam też kilka zdań na temat Thuata, zaprzyjaźnionego z naszym oddziałem Związku Literatów Polskich. Smaku tego wieczoru dodawały także potrawy, oczywiście kuchni wietnamskiej, podane w większości na gorąco.

Spotkanie miało formę zauważenia i publicznego docenienia zasług **Nguyena Chi Thuata** zarówno w pracy zawodowej, naukowej, jak również pracy literackiej, translatorskiej oraz sukcesów na tym trudnym, ale jakże wdzięcznym polu działania.

Obecni byli i gratulacje złożyli, m.in.: I Sekretarz Ambasady Wietnamu w Polsce, Le Thiet Hung – Prezes Stowarzyszenia Wietnamczyków w Polsce, Wiesław Scholz z małżonką Krystyną – Ambasador RP w Hanoi w latach 1998-2004. Nguyen Chi Thuat pracował wtedy jako tłumacz. Piotr Wierzchoń – Dyrektor Instytutu Językoznawstwa Wydziału Neofilologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Maria Elżbieta Sajenczuk – nauczycielka ze Studium Języka Polskiego. Przez 5 lat przebywała w Wietnamie, pracowała z Nguyenem Chi Thuatem w Wyższej Szkole Języków Obcych w Hanoi, Stanisław Korzeniowski – Wiceprezes Fundacji Polonia Gospodarcza Świata, Zbigniew Wojtasiński – były redaktor tygodnika „Wprost” oraz kilkanaście osób współpracujących i zaprzyjaźnionych z Nguyenem Chi Thuatem, m.in.: Anna Krystkowiak – pracuje pod jego kierunkiem, wcześniej przez cztery lata był jej nauczycielem i promotorem. Ukończyła Filologię wietnamsko-tajską w Poznaniu. Zebrani wysłuchali przemówień, gratulacji i podziękowań oraz wspomnień.

Prof. dr Nguyen Chi Thuat urodził się w Ha Nam (Wietnam) 1 maja 1952 roku, przyjechał do Polski 29 sierpnia 1970, jako 19-latek. Po kursie języka polskiego ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Łódzkim. W latach 1977-1987 był lektorem języka polskiego w Wyższej Szkole Języków Obcych w Hanoi. Lata 1987-1990 to staż językowy i studia doktoranckie na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Obronił pracę doktorską w lipcu 1990 roku i otrzymał tytuł doktora nauk humanistycznych. W latach 1990-1996 był pracownikiem, a później kierownikiem Działu do spraw Nauki w Wyższej Szkole Języków Obcych w Hanoi, a w latach 1998-2004 tłumaczem ambasadora RP w Hanoi.

W latach 2004-2005 pracował jako wykładowca na Wydziale Wietnamistyki Uniwersytetu Hanojskiego.

Od 2005 do 2006 roku – profesor kontraktowy, a od 2007 roku – profesor nadzwyczajny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, od 1 lutego 2017 roku jest Kierownikiem Pracowni Badań nad Językiem i Kulturą Wietnamu w Instytucie Językoznawstwa UAM.

Nguyen Chi Thuat jest tłumaczem i popularyzatorem literatury polskiej w Wietnamie, autorem przekładów, m.in.: *Śmierci w trójkącie błędów* Kazimierza Koźniewskiego, *Lalki* Bolesława Prusa, *Pianisty* Władysława Szpilmana, *Przygód Koziołka Matołka* Kornela Makuszyńskiego, *Cesarza (część I i II)* Ryszarda Kapuścińskiego i wielu innych.

Od 1986 roku opublikował na łamach prasy wietnamskiej pojedyncze wiersze Adama Mickiewicza, Karola Wojtyły, Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Różewicza, Czesława Miłosza i innych. Część jego tłumaczeń ukazała się w „Literaturze na świecie”.

Przetłumaczył na język wietnamski „101 mitów o zdrowiu” zamieszczonych w miesięczniku dla młodzieży w Wietnamie. To nie jedyne jego tłumaczenie dotyczące zdrowia człowieka.

Nguyen Chi Thuat jest autorem dwóch tomów wierszy w języku polskim: *Znad Rzeki Czerwonej nad Wisłę i Wartę* (Poznań 2011), *Z nurtem Warty*, Bydgoszcz, 2016.

Jest uczestnikiem festiwalu: Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu i Poeci bez granic w Polanicy Zdroju, Kongresu Tłumaczy Literatury Polskiej. Laureat Nagrody Literackiej im. Klemensa Janickiego „Za całokształt twórczości literackiej i wkład w kulturę europejską” w roku 2013, zdobywca II Nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jana Krzewniaka w Karczewie (2016). Uzyskał wyróżnienie w Konkursie na „Najlepszą Książkę Poetycką” zorganizowanym w ramach Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu (2011).

Jako badacz i popularyzator literatury polskiej napisał i opublikował kilkanaście artykułów naukowych i popularno-naukowych o literaturze polskiej i o poszczególnych polskich autorach (Adam Mickiewicz, Bolesław Prus, Czesław Miłosz, Wisława Szymborska, Tadeusz Różewicz, Ryszard Kapuściński...).

Profesor Nguyen Chi Thuat bardzo blisko współpracuje z Poznańskim Oddziałem Związku Literatów Polskich, uczestnicząc czynnie w jego życiu kulturalnym.

Nguyen Chi Thuat jest nie tylko człowiekiem skromnym, serdecznym, uśmiechniętym i otwartym na drugiego człowieka, czym potrafi sobie zjednać jego sympatię i przychyłność. Dążenie do perfekcji w realizacji zamierzeń, w pracy zawodowej i twórczości, aby mieć pełnię satysfakcji po osiągnięciu celu – to jego dewiza. Mam wrażenie, że nie potrafiłby żyć inaczej.

Nguyen Chi Thuat sam o sobie mówi: „Jestem szczęśliwy, bo robię to, co lubię”.

Anna Andrych

Opinie Noty Poglądy

„Potężny tom »Gdy Bóg się waha« zmusza do refleksji nad miejscem Polkowskiego we współczesnej literaturze polskiej; pisarza, jak sądzę, niedocenionego i niedoszacowanego, mimo że pisali o nim w swoim czasie Jan Błotki, Stanisław Barańczak, Tadeusz Nyczek, Jerzy Pilch, Marian Stala czy Leszek Szaruga, Fenomen Polkowskiego na pewno nie wyczerpuje opinia najwybitniejszego poety stanu wojennego, jaką wyróżniono go kilka dekad temu, a dzisiaj okazuje się mniej komplementem, bardziej zaś przekleństwem. O ile jego twórczość kiedykolwiek mieściła się w tej formule, o tyle dawno ją przerosła w sensie tematycznym, intelektualnym i artystycznym i koniec końców unieważniła pod względem poznawczym – pisze Janusz Drzewucki w „PlusMinus”, numer 29/2017.

Z edytorskim pietyzmem wydana książka »Gdy Bóg się waha« stwarza idealną okazję, aby odczytać poezję Polkowskiego tak, jak na to zasługuje – wszechstronnie i komplementarnie, jako dzieło powstające w czasie historycznym, rozwijające się i podlegające przemianom, ale też jako dzieło współczesne, jak najbardziej aktualne, żywe w sensie estetycznym i etycznym.

Był pierwszym i niewykluczone, że jedynym poetą, który zdobył uznanie, chociaż nie publikował w żadnym kontrolowanym przez cenzurę PRL czasopiśmie czy wydawnictwie. Student filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, przyjaciel zmarłego w niewyjaśnionych okolicznościach Stanisława Pyjasa, członek Studenckiego Komitetu Solidarności, zadebiutował jako poeta w roku 1978 na łamach »Zapisu«, pierwszego w Polsce literackiego pisma podziemnego i niezależnego”. (...)



Rys. Barbara Medajska

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik
Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543
e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Andrzej Bartyński, Emil Biela, Małgorzata Dębowska, Anna Dominiak, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.